



Rebecca Russell

Dom marzeń



Rozdział pierwszy

- Nadszedł wreszcie czas zemsty - wyszeptał Tanner Fairfax. Miał nadzieję, że zmarły dziadek usłyszy jakimś cudem te słowa i nie będzie miał wątpliwości co do zamiarów wnuka.

Tanner zamierzał najszybciej, jak tylko będzie to możliwe, przekazać akt własności posiadłości Fairfaksów temu, kto oferuje najwięcej. Zrobi dokładnie to, czego nigdy nie zrobiłby dziadek. Zemsta będzie słodka. W ten sposób odplaci za krzywdy rodziców.

Posiadłość rodowa Fairfaksów znajdowała się w sennym miasteczku farmerskim New Haven, w stanie Ohio. Wiekowy, lecz nadal elegancki, dwupiętrowy dom przywodził na myśl starzejącą się królową, która za nic w świecie nie chciała ustąpić z tronu.

W wielkich oknach odbijało się lipcowe słońce. Tanner przysłonił ręką oczy, by lepiej przyjrzeć się budynkowi. Ktoś najwyraźniej zadał sobie wiele trudu, by o niego zadbać. Świetny stan werandy sugerował, że nie tak dawno ją naprawiono.

Tannera ogarnęło uczucie niepewności. Wspomnienia jedynego razu, gdy jako pięciolatek odwiedził razem z ojcem dziadka, były zbyt bolesne, więc szybko zepchnął je w najdalsze zakamarki pamięci. Nie był już przerażonym dzieckiem, ale dorosłym mężczyzną, panującym nad własnym przeznaczeniem. I nad emocjami.

Wbiegł na schody, pokonując po dwa stopnie naraz. Z tylnej kieszeni wytartych dżinsów wyjął klucz i otworzył ciężkie, dębowe drzwi, po czym wszedł do środka.

Powitał go przyjemnie chłodny mrok, rozkosznie kontrastujący z upałem panującym na dworze. Znalazł na ścianie wyłącznik i wewnątrz rozjaśniło sącące się z kryształowego kandelabra ciepłe światło.

Naraz z głębi domu dobiegł go dziwny hałas. Tanner zamarł w pół kroku.

- Kto tam? - zawołał najgroźniej, jak potrafił. Ostrożnie ruszył w kierunku, z którego dobiegały odgłosy.

Nie bał się. W końcu właściciel dużej firmy budowlanej powinien bez trudu poradzić sobie z wyprowadzeniem nieproszonego gościa.

- Jestem w kuchni, panie Fairfax - odpowiedział mu kobiecy głos. - Proszę iść prosto przed siebie.

A zatem nieproszony gość jest kobietą. Kolejna niespodzianka. Tanner ruszył w stronę smugi światła wydobywającej się spod drzwi na końcu korytarza, mijając po drodze liczne pokoje. Otworzył drzwi i poczuł niemal słodki, dziwnie znajomy zapach. Czyżby jakaś przyprawa?

Nie zastanawiając się dłużej, wszedł do środka. Zamierzał grzecznie się przywitać, ale słowa zamarły mu na ustach. Na środku przestronnej kuchni stała wysoka, szczupła kobieta, ubrana w białe, pochłapane farbą ogrodniczki. Spod fikuśnej czapeczki wymykały się niesforne kosmyki kasztanowych włosów. Ciemnozielone oczy błyszcząły wesoło, a piękny uśmiech zapierał dech w piersiach.

Nieznajoma z godnym podziwu zapalem zdrapywała energicznie starą farbę z szafek, które ktoś kiedyś pomalował na nieciekawy, brązowy kolor, taki sam, jaki znajdował się na wszystkich listwach i panelach w pomieszczeniu. Ściany pokrywała równie nieatrakcyjna, wyblakła i poplamiona tapeta.

- Kim jesteś i w jaki sposób dostałaś się tutaj? - spytał po chwili. Zdawał sobie sprawę, że zwrócił się do nieznajomej kobiety w dosyć bezceremonialny sposób, ale był zbyt poruszony, by dbać o formy.

- Zaraz wszystko panu wytłumaczę, panie Fairfax. Serdeczność w jej głosie sprawiła, że wszystkie pytania,

które zamierzał zadać, w jednej chwili wyparowały mu z głowy. Siał nieruchomo, podczas gdy ona zrećnie ominęła wiadro i miotłę i znalazła się u jego boku.

- Jestem Cassie Leighton, właścicielka Leighton's Custom Remodeling. Pana dziadek wynajął przed śmiercią moją firmę do wykonania wszystkich niezbędnych napraw.

Wysunęła dłoń, po czym od razu ją cofnęła, uśmiechając się przepraszająco. Tanner zdążył jednak zauważyć, że nie miała na palcu ślubnej obrączki.

- Przepraszam - powiedziała. Wyjąwszy z tylnej kieszeni spodni szmatkę, wytarła w nią ręce. - Nie sądziłam, że zdążyłam już tak się ubrudzić.

Tannera zalała fala gorąca. Jej dotyk oddziaływał na niego w równie intensywny sposób co uśmiech. Najwyraźniej musiał się przeziębici i miał gorączkę... Nie było innego wytłumaczenia!

- Panie Fairfax?

Wziął głęboki oddech. Irytacja spowodowana wizytą nieproszonego gościa wyparowała bez śladu.

- Skąd pani wiedziała, że to ja, a nie na przykład złodziej? - spytał. Nietypowa reakcja jego organizmu na bliskość tej oryginalnej kobiety sprawiała, że czuł się nieswojo.

- W New Haven nie ma takiego zjawiska jak przestępczość. Zresztą, gdy tylko pojawił się pan w gabinecie pana Samuela, jego sekretarka od razu do mnie zadzwoniła. Przybyłam tu najszybciej, jak mogłam. - Bez skrepowania lustrowała jego wygląd: twarz, ciemny podkoszulek, sprane dżinsy i wygodne buty. - Uprzedziła mnie, że jest pan bardzo podobny do swego ojca.

Zastanowiło go, czy dziewczyna tylko tak mówi, czy naprawdę tak uważa, ale szybko pozbył się tej myśli. Zawsze traktował słowa o fizycznym podobieństwie do ojca jako komplement, więc dlaczego teraz miałby wątpić w ich szczerość? Poza tym nie brakowało mu pewności siebie. Nigdy nie miał trudności z umówieniem się na randkę, nawet z najbardziej atrakcyjnymi kobietami.

Po prostu poczuł się nieswojo, słysząc, jak ktoś obcy rozprawia o jego ojcu, jakby go dobrze znał. Jego rodzice zmarli na tyle dawno, że sam miewał trudności z przypomnieniem sobie barwy ich głosów i innych szczegółów, choć wcześniej sądził, że nigdy tego nie zapomni.

- Nie ulega wątpliwości, że jest pan Fairfaksem. Ma pan włosy i oczy Fairfaksów - zawyrokowała Cassie, uśmiechając się przyjaźnie.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że zastanę tu panią? - spytał, poirytowany świadomością, że zależy mu na opinii nieznanego, nawet jeżeli była ona wyjątkowo piękną kobietą.

Co za dziwne myśli, skarcił samego siebie. Całkowicie do niego niepodobne. Szybko zrzucił je na karb niewyspania. Długa, samotna podróż z Teksasu do Ohio z pewnością należała do męczących.

- Pan Samuels mógł nie wiedzieć, że jego sekretarka za dzwoniła do mnie. A dla Emmy nie jest tajemnicą, że darzę ten dom szczególnym sentymentem. Sądziliśmy, że przyjedzie pan jutro, dlatego zamierzałam posprzątać dopiero dzisiaj wieczorem.

Tanner wzruszył ramionami.

- Wyjechałem wcześniej z Tyler i nigdzie się nie zatrzymywałem, dlatego przyjechałem dzień wcześniej.

- Nie ma pan typowego południowego akcentu - zauważyła.

- To fakt. Prawdopodobnie dlatego, że i moi rodzice go nie mieli. Czy mój wcześniejszy przyjazd stanowi dla pani problem? - chciał wiedzieć.

- Ależ skąd! Chodzi mi po prostu o to... - Jej odpowiedź przerwał przytłumiony dźwięk dzwonka. Wyjęła z kieszeni spodni telefon komórkowy i sprawdziła, kto dzwoni. - Przepraszam pana najmocniej, ale przez cały dzień próbowałam skontaktować się z moim pracownikiem - wyjaśniła. Długie, szczupłe palce trzymały słuchawkę przy uchu. Nie był zdziwiony, widząc, że ma równo przycięte, niepomalowane paznokcie. Tak samo praktyczne jak ogrodniczki.

Większość znajomych mu kobiet przerażała myśl o pobrudzeniu rąk, a ta oto Cassie uprawiała zawód, który nie pozostawia

stawiał wiele wyboru w tej kwestii. Mógł się założyć, że taka kobieta jak ona jest w stanie wyszykować się na randkę w ciągu kilku minut. Nie zawahałaby się ani przez chwilę, słysząc propozycję spaceru w deszczu; rozmazany makijaż i zniszczona fryzura to dla niej z pewnością żaden problem.

Cholera! Co takiego w niej było, że myślał w ten nietypowy dla siebie sposób? Naprawdę nie obchodziło go, jak zachowywałaby się na randce! Nie zamierzał się nigdy o tym przekonać. Miał plan: pomieszkać przez miesiąc w posiadłości Fairfaksów, zemścić się na dziadku i wyjechać z New Haven. Bez żadnych komplikacji.

Chcąc zająć myśli czymś innym, zaczął przysłuchiwać się rozmowie Cassie, choć zdawał sobie sprawę, że postępuje cokolwiek niegrzecznie. Ale odzyskanie spokoju ducha było dla niego najważniejsze.

- Nie, Mike, tak być nie może - mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Obiecaliśmy dostarczyć wszystkie urządzenia do jutra, nawet jeżeli jest to sobota. Zadzwoń do Danny'ego. Przydadzą mu się dodatkowe pieniądze. Ale nie pytaj Georgii. Obiecałam jej, że będzie mogła wyjść wcześniej, spieszy się na mecz córki. Przyjadę do was później.

Tannerowi podobał się twardy sposób, w jaki rozmawiała z podwładnym, choć dziwiło go, że znała tak wiele szczegółów z życia osobistego swoich pracowników. Branżę budowlaną charakteryzowała duża rotacja personalna, więc on sam miał trudności z zapamiętaniem choćby imion osób, które zatrudniał w firmie.

- Przepraszam, panie Fairfax. W każdym razie, bardzo się cieszę, że pan przyjechał. Proszę nie przejmować się bałaganem - dodała, jakby, czytała w jego myślach. - Lada moment skończę tu sprzątać. To naprawdę piękny dom. - Spojrzenie Cassie spoważniało. Dotknęła jego ramienia. - Przykro mi z powodu pańskiego dziadka.

Jej chłodne palce rozpały jego ciało niczym gorąca-słońce teksaskiego lata. Ta reakcja zaskoczyła go. Dlaczego gest, który miał ukoić ból, rozpał zmysły?

Nie. Nie pragnął ani jej dotyku, ani słów pocieszenia. Nie chciał żadnych komplikacji w czasie pobytu w New Haven.

- Pan Frank udawał groźnego, ale w głębi duszy był niezwykle dobrym i łagodnym człowiekiem. - W jej oczach zalśniły łzy.

- Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić. - Choć minęło wiele lat, Tanner wciąż miał przed oczami obraz starego mężczyzny o okrutnym spojrzeniu i donośnym głosie. Jego dziadek zachowywał się tak, jakby był udzielnym władcą, posiadającym wyłączne prawo do ustanawiania bezwarunkowo obowiązujących zasad. Żądał bezwzględnego posłuszeństwa i bywał bezwzględny dla tych, którzy odważyli się mu sprzeciwić.

Cassie cofnęła rękę. Nie spodziewała się, że zwyczajny dotyk wywoła reakcję podobną do wrzucenia zapalanej zapalki do pojemnika z terpentyną. Właściwie nie powinna się temu dziwić. Jego ciemna karnacja i klasyczne rysy wytrąciły ją z równowagi już na samym początku. Podobnie jak kruczoczarne włosy i błękitne oczy, przypominające niebo w słoneczny poranek.

- W każdym razie - kontynuowała, wszelkimi siłami starając się pozbierać myśli - pański dziadek chciał, żebym pomalowała dom na zewnątrz, naprawiła poręcz i dach, jak również położyła nową podłogę w kuchni. - Nerwowo wskazała na zlew. - Wszystko, zanim pan przyjedzie. Wiedział, że... że nie zostało mu wiele czasu - dokończyła.

Cholera. Obiecała sobie, że nie będzie się rozklejać, ale tęskniła za starszkiem, który był zarówno jej opiekunem oraz przewodnikiem, jak i przyjacielem.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła chować narzędzia do licznych kieszeni ogrodniczek.

- Woli pan, żebym sprzątała po sobie każdego dnia, czy mogę tak to wszystko zostawić, dopóki całkiem nie skończę?

- Może to pani zostawić. Dzięki temu praca pójdzie szybciej, prawda?

- Dobrze. Właściwie można korzystać z tego pomieszczenia, jeżeli oczywiście nie przeszkadza panu bałagan i odrobina kurzu. Może pań też zamienić jadalnię w tymczasową kuchnię, dopóki nie skończę.

- Jak długo to potrwa? - Zatoczył ręką koło. - Zamierzam jak najszybciej sprzedać posiadłość i nie chcę, by cokolwiek opóźniło moje plany.

Cassie wzdrygnęła się.

- Wygląda na to, że podjął pan decyzję o sprzedaży jeszcze przed obejrzeniem domu.

- Ma pani rację.

Nie ulegało wątpliwości, że Tanner nie ułatwi jej drugiego zadania. Tuż przed śmiercią pan Frank zwierzył się jej z se-

kretów swojej ciemnej przeszłości. Wyjaśnił, iż tylko on jest winny temu, że Tanner nie czuje się związany ze swoją rodziną i z jej dziedzictwem. Wprawdzie Cassie nie mogła uwierzyć, że pan Frank potrafił w tak okrutny sposób mścić się na ludziach, których kochał, ale wypisany w oczach starca żal nie pozostawiał wątpliwości.

- Uważam, że jest pan trochę niewdzięczny. - Spróbowała stawić mu czoło. - Dziadek nie musiał zostawiać panu domu i wcale...

- Na pewno kierował się własnymi, egoistycznymi pobudkami. - Tanner natychmiast uciął rozmowę.

Jednak Cassie wiedziała, jak bardzo się mylił. Aż do ostatnich chwil życia pan Frank miał nadzieję, że błagalne listy, które słał do wnuka, przyniosą wybaczenie i szansę na spotkanie. Ale stało się inaczej.

Pan Frank poprosił ją, by poświęciła trzydzieści dni na przekonanie Tannera, żeby przebaczył dziadkowi i zaakceptował rodzinne dziedzictwo. Tej obietnicy zamierzała dotrzymać!

- Jeżeli uważa pani, panno Leighton, że nie uda się pani dotrzymać wyznaczonego terminu, zatrudnię kogoś innego.

- Byłoby mi miło, gdyby zwracał się pan do mnie po imieniu. - Uśmiechnęła się słodko. - I proszę się nie martwić, zdążę na czas. Jestem pewna, że ma pan inne sprawy, którymi musi się pan zająć, więc jeśli pan pozwoli, przyjdę jutro rano, żeby zerwać starą tapetę.

- W sobotę? Wzruszyła ramionami.

- To jeden z moich najbardziej pracowitych dni. Chciałabym też, żeby przejrzał pan próbki kolorów i wzorów. Możemy się

spotkać w moim biurze w centrum miasta albo mogę je tutaj jutro przywieźć. Co pan woli?

- Ja? A co ja mam z tym wspólnego?

- Może pan dokonać dowolnych zmian w domu. Pański dziadek przekazał panu uprawnienia w tej kwestii, więc nie musi pan czekać przepisowych trzydziestu dni.

- To i tak wystarczająco męczące, że muszę mieszkać w tym domu przez miesiąc, zanim będę mógł się go pozbyć. Nie obchodzi mnie, jaki wybierzesz kolor ścian.

Wyjęła z szafy szczotkę. Szczęśliwa, że ma się czym zająć, szybko przywróciła porządek. Pracując, spoglądała ukradkiem na wysokiego, przystojnego mężczyznę o budowie lekkoatlety.

Pan Frank pokazywał jej jakieś kiepskie zdjęcia wnuka oraz raport prywatnego detektywa, wynajętego, by czuwał nad poczynaniami młodego Tannera. Ale fotografie nie oddawały jego sposobu bycia, który sprawiał, że przy nim nie potrafiła się skoncentrować.

- Chwileczkę! Skąd wiedziałaś o warunku mieszkania w posiadłości Fairfaksów przez trzydzieści dni?

Może Tanner wyglądał jak ojciec, ale podejrzliwą naturę odziedziczył z pewnością po dziadku.

- Pan Frank mi o tym powiedział. A nawet gdyby tego nie zrobił... w New Haven wszelkie informacje rozchodzą się z prędkością światła. Pierwsza zasada w małym miasteczku: żadnych sekretów. Z czasem pan do tego przywyknie.

- Proszę, mów mi również po imieniu. Poza tym zapewniam cię, że nie zostanę tutaj na tyle długo, by przyzwyczać się do czegokolwiek.

Jeszcze zobaczymy, pomyślała. Tanner mógł się zachowywać jak obcy, ale w głębi serca należał do New Haven. Po prostu jeszcze sobie tego nie uświadamiał.

Pan Frank uważał, że Cassie była jedyną osobą mogącą mu pomóc wynagrodzić do, które wyrządził za życia. Tylko człowiek o sercu z kamienia mógłby odmówić. Cassie nie potrafiłaby tego uczynić, choć w głębi duszy wiedziała, że kieruje się także własnymi, egoistycznymi pobudkami - nie dotrzymała obietnicy złożonej swojemu umierającemu ojcu. Nieoczekiwanie los dał jej drugą szansę, by mogła udowodnić, że jej słowo coś znaczy.

Przypomniał się jej pewien szczegół z raportu detektywa. Choć w życiu Tannera nie brakowało kobiet, to albo nie potrafił ich przy sobie zatrzymać, albo najzwyczajniej w świecie tego nie chciał, ponieważ żaden jego związek nie trwał dłużej niż kilka miesięcy.

- By dobrze sprzedać ten dom, potrzeba jeszcze wielu na praw - zauważył Tanner. - Zależy mi na czasie. Skoro przyjdiesz tu jutro, przynieś, proszę, te próbki kolorów i wzorów. Muszę się dowiedzieć, co jest obecnie modne.

Zmarszczyła brwi, gładząc jednocześnie wyblakłą, poplamioną wodą tapetę. Taki cudowny dom zasługiwał na coś więcej niż tylko najnowszy trend dekoratorski. Najbardziej przerażała ją determinacja Tannera, by sprzedać dom, wziąć pieniądze i uciec stąd jak najszybciej.

Z łatwością mogła wyobrazić go sobie mieszkającego w posiadłości Fairfaksów. New Haven przyjęłoby go z otwartymi ramionami. Ale nie wystarczyło, że ona to wiedziała. Tanner także musiał się o tym przekonać.

- Chyba że masz ważniejsze sprawy - dodał sucho.
- Oczywiście, że nie. Postaram się jak najszybciej odzyskać próbki od jednego z klientów. Chcę, żebyś wiedział, że pan Samuels poprosił mnie, bym potraktowała posiadłość Fairfaksów priorytetowo, ale zrobiłabym to i tak. Ten dom ma dla mnie olbrzymie znaczenie. Właściwie wychowałam się tu.

Tanner zmarszczył brwi.

- Czyżbyśmy byli spokrewnieni?
- Ależ skąd. Byłam po prostu dzieciakiem, który się narzucał.
- Westchnęła, wdychając znajomą, przyjemną woń, która na zawsze będzie kojarzyła się jej z ciepłem, jakiego zaznała w posiadłości Fairfaksów. Uwielbiam ten zapach, a ty? - zmieniła temat.

Tanner wziął głęboki oddech.

- Nie za bardzo wiem, co to jest...
- Wanilia. Twoja babcia codziennie gotowała trochę wanilii na wolnym ogniu i zawsze, kiedy tu jestem, robię to samo. Twój dziadek uwielbiał ten zapach. Przypominał mu jego ukochaną żonę. Czy wiesz, że miała zaledwie sześćdziesiąt lat, gdy zmarła? To był rak. Na szczęście nie cierpiała długo. Pan Frank nigdy nie pogodził się z jej śmiercią.

Cóż, miłość nie dawała żadnych gwarancji, pomyślała Cassie. Jej ojciec zmarł na atak serca w wieku trzydziestu czterech lat, zostawiając matkę ze złamanym sercem. Ona sama nie zamierzała tracić czasu, gdy już spotka Tego Jedyneho. Zawsze razem - oto jej zasada. Była pewna, że Tanner nigdy by tego nie zrozumiał. Najwyraźniej wolał zabawić się i zniknąć, o ile można wierzyć raportom detektywa.

- Śmiałam się, że dużo lepiej byłoby kupić odświeżacz powietrza o zapachu wanilii, ale pan Frank uważał, że to nie to samo. Bardzo za nim tęsknię.

Cassie zamrugwała gwałtownie, by powstrzymać łzy. Straciła jednego z najlepszych przyjaciół. Musiała dochować danego mu słowa!

- Zobaczymy się rano, tak około dziewiątej. - Pożegnała się i wyszła tylnymi drzwiami.

Tanner patrzył, jak odchodzi. Widział, że jej oczy zaszkliły się od łez. Jeszcze nigdy nie spotkał osoby, która tak otwarcie okazywałaby emocje. Nie ulegało wątpliwości, że Cassie bardzo przeżyła śmierć jego dziadka.

Nie mógł sobie go wyobrazić gotującego wanilię, by zachować wspomnienie zmarłej żony. Lodowata woda, która płynęła w jego żyłach zamiast krwi, czyniła go niezdolnym do równie sentymentalnych rytuałów.

Co takiego widziała Cassie w tym starym, okrutnym człowieku? Albo była jego kolejną ofiarą, albo sprytną pochlebczynią, który otrzymała w spadku dużo więcej, niż na to zasługiwała.

Postanowił sprawdzić szczegóły testamentu dziadka. Nie miał żadnych krewnych, ale choć nie był jedynym spadkobiercą, jakoś nie mógł sobie przypomnieć, by widział na liście nazwisko Cassie.

- Hop! Hop! - Naraz od frontu dobiegł wysoki kobiecy głos i ktoś zapukał do drzwi.

- A co teraz? - wymamrotał Tanner, po czym wstał, by otworzyć. Po drodze przyglądał się mijanym pokojom. Eleganckie, rzeźbione meble zdobiły salon i jadalnię. Na szafkach stały zdję-

cia w staromodnych ramkach. Dostrzegł też gabinet zamieniony w sypialnię. Później zostawi tam swoje rzeczy.

Otworzył drzwi. Na werandzie stała drobna kobieta z pomarańczowymi włosami zebranymi na czubku głowy w misterny kok. Jej twarz zdobiła taka warstwa pudru, że mogłaby spokojnie założyć własną drogerię. W rękach trzymała dymiące szklane naczynie. Jedna chwila wystarczyła, by Tanner poczuł smakowity zapach kremowej zupy z prawdziwków i suszonej cebuli. Zaburczało mu w żołądku.

- Chciałam być pierwszą osobą, która cię przywita w miasteczku. - Kobieta uśmiechnęła się, przemknęła pod jego ramieniem i ruszyła w stronę kuchni.

Zamrugnął zdziwiony nieproszonym wtargnięciem, po czym szybko podążył jej śladem.

- Tak nam przykro z powodu twojego dziadka - powiedziała nieznajoma współczującym głosem. Postawiła naczynie na kuchni. - Ale bardzo się cieszymy, że w domu zamieszkał następny Fairfax. Na imię ci Tanner, prawda?

- Tak, ale...

- Nazywam się Boone, mieszkam po drugiej stronie ulicy. - Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. - Twój dziadek uwielbiał moją zupę grzybową, więc jestem pewna, że tobie także będzie smakować. A jeżeli chciałbyś poznać historię New Haven, pytaj śmiało. Jestem miejscowym kronikarzem - powiedziała nie bez dumy.

- Dziękuję, ale nie zostanę tutaj...

- Jesteś kopią swojego ojca. Frankie był czarujący. - Nachyliła się w stronę Tannera. - W ogóle nie przypominał twojego

dziadka. Ale choć Frankowi seniorowi brakowało uroku, był dobrym człowiekiem, który zawsze dotrzymywał słowa.

Tanner nie mógł zrozumieć, w jaki sposób mściwemu dziadkowi udało się ukryć swój podły charakter przed mieszkańcami miasteczka.

- Ach tak? W każdym razie dziękuję, pani Boone.

- Ależ proszę. Mam nadzieję, że masz tyle ikry co twój ojciec. To miasto potrzebuje kogoś, kto je rozrusza.

- Frankie! Nareszcie wróciłeś do domu! - zawołał drżący głos zza kuchennych drzwi i do środka weszła zgarbiona staruszka.

Pani Boone ujęła ją pod ramię.

- Ależ nie, pani Johnson. Frankie i Susan zginęli dawno temu w tym okropnym wypadku samochodowym, pamięta pani, prawdą?

- Bzdura, moje dziecko. Wszędzie poznałabym te włosy i oczy! Dlaczego tak długo cię nie było, Frankie?

Mieszanina emocji zawładnęła Tannerem. Ciepło i radość w głosie nieznajomej, wyraz zrozumienia na jej twarzy oraz to, że najwyraźniej musiała znać i lubić jego ojca sprawiły, że z trudem łapał oddech. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnie poznać najdrobniejsze szczegóły z dzieciństwa rodziców.

- Miasteczko nie jest takie samo, odkąd wyjechałeś, kochany chłopcze.

Tanner nie wiedział, jak zareagować, na wszelki wypadek postanowił więc nie wyprowadzać staruszki z błędu.

- Co u pani słyhać, pani Johnson?

- Nauczanie też nie jest już takie samo. Żadnego szacunku, żadnej chęci do nauki. Twój tatuś uważał, że można zmusić dzieci, by postępowały słusznie. Strachem albo przekupstwem, tak zwana metoda kija i marchewki, ale ja się z nim nie zgadzam. A w ogóle, gdzie jest ten psotnik?

Pani Boone uśmiechnęła się smutno.

- Pani Johnson była najlepszą nauczycielką matematyki, jaka kiedykolwiek przekroczyła mury szkoły średniej w New Haven. Mieszka tuż obok. Gdy dobrze się czuła, lubiła przychodzić tutaj i sprzeczać się z twoim dziadkiem. Było ich słycać aż w centrum! Dzisiaj jednak najwyraźniej nie czuje się najlepiej. Chodźmy, pani Johnson. Odprowadzę panią do domu.

Pani Boone poprowadziła zgarbioną kobietę w stronę drzwi.

- O! Zobacz, Tanner! - powiedziała, odwracając się w jego stronę. - Kolejni goście. Masz szczęście! Wygląda na to, że panna Eva przyniosła cynamonowe bułeczki. Jeden kęs, i będziesz gotów za nie umrzeć.

Rozdział drugi

Cassie przycisnęła do piersi torby z zakupami. Słabe światło w kuchni świadczyło, że Tanner jest jednak w domu. To dobrze. Nie na darmo straciła tyle czasu, zastanawiając się, co na siebie włożyć. Mniej się przejmowała randkami niż zwyczajnym spotkaniem z Tannerem!

Musiała uważać. Tanner był nie tylko klientem i sąsiadem, ale także kimś, kim, zgodnie z obietnicą złożoną panu Frankowi na łożu śmierci, miała się opiekować. Po licznych rozterkach zdecydowała się na wygodne dzinsy, białą bluzkę bez rękawów, sandaiki i fikuśny, dżinsowy kapelusik.

Przełożyła torby do jednej ręki i zastukała do drzwi.

- No, chodźże, Tanner - wymamrotała pod nosem. -Otwórz wreszcie. - Chciała powitać go w miasteczku, a poza tym miała nadzieję, iż drobne upominki sprawią, że zrozumie, jak bardzo kochała i szanowała jego dziadka.

Niestety, był też drugi, mniej niewinny motyw tych odwiedzin. Tanner wypełniał jej myśli przez cały dzień. Nie mogła o nim zapomnieć...

Przez całe życie mówiono jej, że jest ciekawa świata, więc wydawało się, iż wybrała sobie idealny zawód. Stare, zepsute przedmioty stanowiły dla niej prawdziwe skarby. Uwielbiała zdrapywać starą farbę, by odkrywać prawdziwe piękno sprzętów ukryte pod zniszczoną zewnętrzną powłoką.

Nic więc dziwnego, że fascynował ją taki mężczyzna jak Tanner. Postawił wokół własnego serca więcej murów, niż było wokół posiadłości, którą odziedziczył. To wyjaśniało, dlaczego nie potrafił związać się z kimś na dłużej.

Na jego nieszczęście Cassie żyła z tego, że umiała burzyć mury. Oczywiście, nie kierowała się osobistymi względami. Po prostu musiała go lepiej poznać, by móc go przekonać do pozostania w New Haven.

Zapukała ponownie. Po chwili drzwi uchyliły się.

- Wchodź, szybko - wyszeptał Tanner.

- Co się stało? - spytała z udawaną nonszalancją. Była ciekawa powodów jego dziwnego zachowania, a jednocześnie nie chciała, żeby zobaczył, jak bardzo ucieszyła się na jego widok. Nic sobie nie robiąc z panujących w domu ciemności, ruszyła prosto do kuchni. Jako dziecko spędziła tu wiele godzin, bawiąc się razem z siostrą w berka czy chowanego, potrafiła więc znaleźć drogę nawet po omacku. - Zachowujesz się, jakbyś się ukrywał... Czy wydarzyło się coś niezwykłego?

Słabe światło ukazało kuchenny stół zastawiony przeróżnymi naczyniami i tackami owiniętymi w folię. Cassie poczuła wspa- niałą aromat zupy grzybowej pani Boone, zapach grillowanego kurczaka pana Dunne i cynamonowych bułeczek panny Evy, a także całej masy innych specjałów.

Zrobiła na stole trochę miejsca dla swoich toreb. Z trudem odwróciła wzrok od smakołyków, by spojrzeć na Tannera, który po raz pierwszy sprawiał wrażenie kogoś, kogo można łatwo zranic.

- Oczywiście, że się ukrywam, Cassie. Odkąd postawiłem nogę w tym domu, nie miałem ani chwili spokoju. Co sekunda pojawiają się nieproszeni goście. Spójrz tylko! - Wskazał na jedzenie. - Chodzi po prostu o to, że jestem... jestem...

- Zagubiony? - podsunęła. Całkiem nieświadomie jej twarz ozdobił przyjazny uśmiech. Nie ma nic bardziej pociągającego niż zagubiony mężczyzna. Pociągający? Tanner? Nie. Obiecała sobie, że przestanie myśleć o nim w tych kategoriach. - Z całą pewnością nie bywałeś wcześniej w małych miasteczkach. Jesteśmy dumni z naszej gościnności.

- Pracowałem w setkach małych miasteczek, ale nigdy w żadnym nie mieszkałem - wyznał.

- W setkach? Musiałeś dużo podróżować! Czym się zajmujesz? - Choć znała odpowiedź, wołała dać mu szansę, by sam o sobie opowiedział. Coś jej mówiło, że byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że dziadek wynajął prywatnego detektywa, który informował go o najbardziej intymnych szczegółach życia wnuka.

- Stolarką. Jestem właścicielem firmy budowlanej. Kiedy Cassie po raz pierwszy usłyszała, czym zajmuje się Tanner, pomyślała, że mają ze sobą wiele wspólnego.

- To geny. Pan Frank zaczynał w ten sam sposób. Miał firmę, która budowała domy mieszkalne. Dopiero z czasem rozszerzył działalność. Otworzył sklep z narzędziami, zajął się naprawami... Ale pewnie już to wszystko wiesz.

- Ja zajmuję się wyłącznie budownictwem. - Tanner skrzyżował ramiona na piersi. Naprężone mięśnie napięły materiał

koszuli. - A o moim dziadku wiem to, co chciałbym wiedzieć. -
Zawsze stawiał na swoim.

Tanner był uparty. Tak jak i jego dziadek. Jaka szkoda, że nie zdawał sobie sprawy z łączącego ich podobieństwa.

- Tacy są zazwyczaj ludzie sukcesu... - Cassie zawiesiła głos.
- Firma, którą prowadzę, także należała kiedyś do pana Franka. Kupiłam ją od niego dwa lata temu.

- Jesteś dość młoda, jak na kogoś, kto jest właścicielem firmy i sam nią zarządza.

- Dwadzieścia trzy lata to nie tak mało, jeżeli weźmie się pod uwagę, że wcześniej przez dziewięć lat pracowałam dla twojego dziadka. Tata zostawił mi trochę pieniędzy, ponadto wzięłam kredyt w banku i dzięki temu byłam w stanie zaoferować panu Frankowi godziwą cenę. Możesz to sprawdzić w papierach, które dostałeś od pana Samuela.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Tanner przeczesał ręką swoje ciemne, gęste włosy. - Nie pojmuję tylko tego! - oświadczył, wskazując na stół pełen jedzenia. - Czego chcą ode mnie ci wszyscy ludzie?

Musiła sprawić, by Tanner zrozumiał, jak bardzo jego dziadek przeklinał w ostatnich latach swego życia własną dumę, która doprowadziła do rozpadu rodziny. By do niego dotarło, że dziadek bardzo go kochał i z całego serca żałował swojego postępowania.

- Ci ludzie chcą w ten sposób przywitać cię w New Haven i pokazać, jak bardzo szanowali twojego dziadka.

- Przecież wcale mnie nie znają.

- Jesteś Fairfaksem. To im wystarcza. - Wyjęła z torby chłodny karton mleka, następnie jajka, chleb, ser i kawę. Z drugiej siatki wydobyla serwetki i jednorazowe naczynia, a także niewielką roślinkę w doniczce.

Tanner przerwał swój wywód. Patrzył na Cassie, jakby zamiast dzinsowego kapelusika miała na głowie metalowe wiadro.

- To takie proste?

- Tak - potwierdziła. - I ostrzegam cię, jeżeli jeszcze nie dostałeś zaproszenia na obiad od mojej mamy, na pewno otrzymasz je w najbliższym czasie.

- Przecież jestem w New Haven dopiero jeden dzień.

- Już ci mówiłam: w małych miasteczkach wiadomości szybko się rozchodzą.

- Dlaczego twoja mama miałyby zapraszać mnie na obiad? Cassie uśmiechnęła się cierpliwie.

- Chodziła do szkoły z twoim tatą. Byli kiedyś parą. Później mama opiekowała się twoją babcią w czasie choroby, a następnie także twoim dziadkiem. Państwo Fairfax traktowali nas jak rodzinę.

Tanner pokręcił przecząco głową, marszcząc jednocześnie brwi.

- Po prostu tego nie rozumiem.

- Któregoś dnia zrozumiesz. - Przynajmniej Cassie miała nadzieję, że Tanner już niedługo zda sobie sprawę, jak ważne są więzy rodzinne.

Postawiła roślinkę na parapecie.

- Co robisz?

- Ktoś wyrzucił wszystkie kwiaty, które tu kiedyś były, więc przyniosłam taką namiastkę. - Rozwinęła splecione gałązki powoju i uśmiechnęła się. Idealnie. - Kuchnia od razu wygląda bardziej przytulnie.

- Przytulnie? Nie obchodzi mnie, czy jest przytulnie, czy nie. Z całą pewnością nie mogę tego przyjąć, prawie nigdy nie ma mnie w domu.

Gdy tak mówił, niemalże widziała mury, którymi zagroził dostęp do swego serca.

- Miejsce, w którym się mieszka, powinno stać się domem. Nawet jeżeli ma nim być jedynie przez krótki czas. - Sama Cassie należała do tych osób, które dekorują nawet wnętrza samochodu, by było w nim bardziej przytulnie.

- Dla mnie dom to miejsce, do którego zaglądam raz na jakiś czas, by odebrać pocztę i wyprać ubrania. Taki system w zupełności mi odpowiada.

Cassie doskonale rozumiała, że to na skutek śmierci rodziców Tanner w wieku siedemnastu lat stracił wszelkie iluzje na temat domu i rodzinnego szczęścia. Chociaż nic nie było w stanie zmienić przeszłości, mogła mu pomóc zbliżyć się do tej części rodziny, której nigdy nie znał.

- Dobrze - odparła, wzruszając ramionami. - Sama będę podlewała ten powój. - Wzięła do ręki puszkę z kawą. - Nie byłam pewna, jaką pijasz, ale uznałam, że potrzebujesz kofeiny.

- O tak. - Tanner podszedł do stołu. - Ile ci jestem winien za zakupy? - Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Jeżeli oddasz mi pieniądze, uznam, że ponieważ mój prezent nie został przeze mnie własnoręcznie zrobiony, nie może się

równać z pozostałymi. Ale nie jestem dobrą kucharką, więc nie byłabym w stanie rywalizować z tymi wszystkimi specjałami. Niestety...

- Nie o to mi chodziło.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się. - A teraz zasada numer dwa w małym miasteczku: gdy ktoś jest dla ciebie miły, po prostu mu podziękuj.

Spodziewała się sprzeciwu, ale zamiast tego spięta twarz Tannera rozluźniła się w ciepłym uśmiechu.

- Dziękuję.

Zaczerwieniła się. Zaczęła bawić się dzinsowym kapelusikiem, który skrywał jej kasztanowe włosy. W opinii Tannera niewiele kobiet wyglądało dobrze w kapeluszach, ale w sposobie ubierania się Cassie było dużo naturalnego wdzięku, a nakrycie głowy dodawało jej jedynie uroku.

- Nie ma za co.

Spodziewał się, że Cassie wyglądałaby dobrze we wszystkim. Obcisłe, sprane dzinsy podkreślały niebezpiecznie pociągające krągłości jej ciała. Bluzka bez rękawów uwydatniała smukłość ramion, a sandaalki eksponowały zgrabne stopy i pomalowane na różowo paznokcie, dowodząc, że ich właścicielka jest stuprocentową kobietą.

Jak mógłby o tym zapomnieć!

- A zatem do zobaczenia rano. Dobranoc - Cassie pożegnała się, po czym wyszła.

Tanner podszedł do zlewu i ochlapał twarz zimną wodą, chcąc w ten sposób pozbyć się wspomnienia kuszących krągłości, niepokojącego ciepła i serdeczności.

W sobotę rano o dziewiątej Cassie zapukała do kuchennych drzwi posiadłości Fairfaksów. Denerwowała się trochę przed dzisiejszym spotkaniem z Tannerem. Miała tylko nadzieję, że zastanie go w nieco lepszym nastroju niż wczoraj. Nie zawiodła się. Niespodziewany uśmiech rozjaśnił jego twarz. Cassie po raz kolejny musiała przyznać, że on jest uroczym mężczyzną. A potem spojrzał na nią w ten sposób...

Przez pół nocy nie mogła zasnąć. Wierciła się w łóżku, przewracając się z boku na bok. Czy tylko wyobraziła sobie ciekawość w jego spojrzeniu? A jeżeli jej podejrzenia były słuszne, to czy jakiegokolwiek zainteresowanie z jego strony ułatwi jej zadanie, czy tylko wszystko skomplikuje?

Nie. Nie pozwoli sobie dłużej na takie myśli. To co, że istnieje między nimi chemia. Tanner jest przede wszystkim klientem, sąsiadem i wnukiem drogiego przyjaciela. Nikim więcej!

Aromat mocnej kawy i cynamonowych bułeczek przedostawał się przez kuchenne drzwi, w znacznym stopniu utrudniając koncentrację. Zaburczało jej w brzuchu. W myślach przeklinała własną słabość do słodczy. Smakowity zapach jedzenia niepotrzebnie odciągał jej uwagę od tego, co naprawdę istotne. Od pracy.

- Proszę - powiedział Tanner, otwierając drzwi na oścież.
- Dziękuję. - Weszła do środka.

Tanner najwyraźniej brał przed chwilą prysznic, bo wciąż miał mokre włosy. Granatowa koszulka podkreślała szeroką linię jego ramion, a szare, krótkie spodenki uwydatniały długie, umięśnione i opalone nogi.

No cóż, jej klient był atrakcyjnym mężczyzną, ale dla prawdziwej profesjonalistki nie stanowiło to najmniejszego problemu. Przełknęła ślinę i z trudem zmusiła się do myślenia o pracy.

- Co powiesz na kawę i bułeczkę, zanim zaczniemy? Tak pyszne jedzenie nie powinno się zmarnować - zaproponował, wskazując ruchem ręki nakryty dla dwojga kuchenny stół.

- Tylko głupiec odrzuciłby tak smaczną propozycję. - Usiadła z mocnym postanowieniem utrzymania rozmowy w tonie lekkim i dowcipnym, ale bez zapominania o zachowaniu profesjonalnego poziomu. Musiała zdobyć jego zaufanie.

Wzięła cynamonową bułeczkę pokrytą lukrem domowej roboty, oderwała kawałek aromatycznego ciasta i włożyła do ust.

- Hmm... Niebo w ustach - wymamrotała, smakując bogate w słodycz cukiernicze arcydzieło. Panna Eva dodawała do ciasta cynamonu oraz tajemnej mieszanki przypraw, której składników nie chciała nikomu zdradzić. Cassie rozkoszowała się każdym kęsem.

Nagle podniosła wzrok i napotkała pełne zainteresowania spojrzenie Tannera.

- Coś się stało? Mam na twarzy okruszki?

- Ależ nie - odparł aż za szybko. - Po prostu nigdy nie widziałem, by ktoś jadł w ten sposób bułeczkę.

- Gdy coś mi smakuje, staram się przedłużyć rozkosz. Nie przejmuj się. Jeżeli chodzi o tapetowanie, pobieram opłatę od rolki, a nie od godziny - zażartowała. Wytarła dłonie w leżącą obok talerza serwetkę, po czym napiła się pysznej, aromatycznej kawy.

- Nie martwię się. - Tan ner odsunął swój talerz. Zdążył już zjeść dwie bułeczki z masłem. - Nie chciałem cię pospieszać - kontynuował. - Przyszłaś punktualnie, co w tej branży rzadko się zdarza.

- Niewielka w tym moja zasługa. Mieszkam dwa kroki stąd, po drugiej stronie ulicy. Wynajmuję nieduże mieszkanie w domu pani Boone.

- Ktoś mi niedawno powiedział, że za miłe rzeczy należy po prostu podziękować.

Uśmiechnęła się, zaskoczona nagłym przejściem od ugrzecznionej rozmowy do przyjacielskich pogaduszek.

- Szybko się uczysz. To mi się podoba. Czy zaglądałeś już do garażu?

- Był zamknięty. Muszę zadzwonić do adwokata po klucz.

- Nie trzeba. W szafce na szczotki jest zapasowy. W tej chwili zadzwoniła komórka Cassie.

- Przepraszam. - Dziewczyna wyjęła telefon z kieszeni spodni i sprawdziła numer dzwoniącego. - To moja pracownica. Rozmowa zajmie mi tylko chwilkę. - Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Cześć, Georgio.

- Cześć, Cas, jestem właśnie w drodze do domu pana Dibble. Chciałam ci po prostu podziękować, że pozwoliłaś mi wczoraj wcześniej wyjść. Emily zdobyła jedyną bramkę dla swojej drużyny!

Cassie uśmiechnęła się. Oczami wyobraźni widziała już piegowatą sześciolatkę w fioletowo-białym stroju reprezentacji szkoły.

- Nie ma sprawy, Georgio. Powiedz małej, że stawiam jej duże lody.

- Ależ Cas, nie trzeba. Emily żyje piłką nożną.

- Wiem, ale jest taka słodka. I tak zaprosiłabym ją na lody, nawet bez tej bramki. Aha, na wypadek gdybyś zapomniała, odczekaj chwilę po zadzwonieniu do drzwi pana Dibble. Chodzi z balkonikiem, więc to może potrwać.

- Jasne. Zadzwonię do ciebie później. Pa, Cas.

- Pa. - Cassie włożyła telefon z powrotem do kieszeni spodni. Ona także nie powinna marnować czasu. Miała mniej niż miesiąc, by sprawić, aby Tanner poczuł się związany ze swoim domem i z New Haven.

- Skąd wiesz, że któryś z twoich pracowników potrzebuje pieniędzy albo że dziecko innego gra w piłkę nożną?

Cassie uśmiechnęła się. Pytania świadczyły o budzącym się zainteresowaniu.

- To uroki mieszkania w małym miasteczku. Wychowałam się wśród tych ludzi, ufam im i wolę korzystać z ich usług. Rozumiem, że tam, skąd pochodzisz, jest inaczej...

- Można by tak powiedzieć.

Dał jej jasno do zrozumienia, że nie powinna dłużej drażnić tego tematu. Musiała znaleźć jakiś sposób, by wzbudzić jego zainteresowanie przeszłością domu i historią rodziny. Może powinna zacząć od tego, co w posiadłości zajmowało najbardziej ją samą.

- Zapewne pomyślisz, że jestem szalona, ale mam do ciebie prośbę.

Tanner uniósł pytająco brew.

- Prośbę? Do mnie?

Rzadko kiedy pozwalala sobie na takie przerwy w pracy, ale w tym wypadku miała jeszcze coś do zrobienia. Cena i zakres usług remontowych w kuchni zostały już ustalone, a drugie zadanie, obietnica, jaką złożyła panu Frankowi, nie wymagało wystawienia faktury.

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, bym zajrzała do pokoi na piętrze?

- Czyżby z powodu przeciekającego dachu powstały tam jakieś szkody?

- Nie. Przeciekał jedynie dach nad kuchnią. To raczej kwestia osobista. - Nachyliła się w jego stronę. Obydwa jej łokcie spoczywały na stole. - Widzisz, byłam w tym domu wiele razy, ale ani mnie, ani mojej siostrze nigdy nie było wolno wejść na górę. Wiem, że to brzmi głupio, ale te spiralne schody zawsze przypominały mi drabinę do magicznej krainy baśni. - Zachichotała. - Później, gdy pan Frank i ja zbliżyliśmy się do siebie, bałam się poprosić go o to, nie chcąc naruszać jego prywatności. Niemniej jednak zawsze zastanawiałam się, co takiego znajduje się na piętrze, że zabroniono mi tam wchodzić.

- Przecież już od jakiegoś czasu remontujesz ten dom. Jeżeli było to dla ciebie aż tak ważne, dlaczego po prostu nie zajrzałaś na górę?

- Nie powiem, żeby mnie nie kusiło, ale z szacunku dla pana Franka nie mogłam tego zrobić.

- Masz silną wolę - zauważył z uznaniem.

- Ale teraz, gdy ty jesteś właścicielem, nie będę czuła się winna, jeżeli powiesz, że mogę tam pójść.

Tanner podniósł się z krzesła. W jego oczach lśniły iskiereki rozbawienia.

- Prowadź na górę.

- Wspaniale! - Pobieгла przez salon w stronę rzeźbionej klatki schodowej. Fakt, że Tanner podążał krok w krok za nią, tylko dodawał jej animuszu. Może uda się zainteresować go jedną z jej ulubionych historii.

- W pierwotnej wersji ta klatka schodowa znajdowała się w jadalni, ale twoja babcia wspomniała kiedyś, że byłoby dużo lepiej, gdyby ją przenieść tutaj, więc następnego dnia pan Frank sprowadził architekta, żeby przygotował plany i przystąpił do przebudowy. Zrobiłby dla żony wszystko, tak bardzo ją kochał!

Wszystko poza przyznaniem się do pomyłki w ocenie najważniejszego dla nich człowieka, ich syna. Przy schodach Cassie zawahała się.

- No już - zachęcał ją Tanner. - Tylko nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Zajrzałem tam na chwilę wczoraj wieczorem. Wprawdzie byłem zbyt zmęczony podróżą, by dokonać gruntownej inspekcji, ale nic tam nie ma, zapewniam cię.

Cassie nie zamierzała, poddawać się jego pesymizmowi. Choć zaproponowała zwiedzenie piętrowego, by wzbudzić zainteresowanie Tannera historią domu i jego rodziny, cieszyła ją możliwość zaspokojenia ciekawości zrodzonej w dzieciństwie.

Ostrożnie stąpała po drewnianych schodach. Długo czekała na ten moment, więc teraz zamierzała delektować się każdą chwilą.

- Mogę się założyć, że pan Frank uśmiecha się do nas z góry.

- Nie rozumiem tego, Cassie. Dlaczego spędzałaś czas ze zramolałym facetem, z którym nie byłaś nawet spokrewniona?

- Mój tata zmarł, gdy miałam dziewięć lat. Mama i siostra pocieszały się nawzajem, wynajdując sobie wspólne zajęcia: gotując, piekąc, szyjąc. Ja byłam w tym beznadziejna. Zawsze wolałam majsterkować z tatą w garażu. Po jego śmierci czułam się osamotniona.

I winna.

Tuż przed śmiercią tata prosił ją, by przestała zachowywać się jak chłopak i zadbała o swoją kobiecość. Uważał, że mama i tak ma za dużo zmartwień, a obawiał się, że gdy go zabraknie, Cassie będzie miała trudności z odnalezieniem swego miejsca w rodzinie.

Cassie próbowała zachowywać się bardziej dziewczęco, ale przychodziło jej to z takim trudem i było tak nienaturalne, że szybko się poddała. Nie dotrzymała słowa.

- Twój dziadek zobaczył, jaka jestem zagubiona i zaczął wynajdywać dla mnie różne zajęcia.

Patrząc na to z perspektywy czasu, dochodziła do wniosku, że starszy pan był równie zagubiony, jak przerażona, mała dziewczynka

- Zobaczmy, co kryje się za drzwiami numer jeden. - Cassie weszła do pokoju, wstrzymując cały czas oddech.

Jej oczom ukazały się ściany w kolorze brzoskwini i eleganckie meble. W powietrzu unosił się zapach naftaliny.

Tanner ujrzał nagle w swojej wyobraźni małą dziewczynkę, samotną, tęskniącą za ojcem, dokonującą drobnych napraw w wielkim, ponurym domu, i poczuł niemiłe ukłucie w sercu. Wiedział, że praca fizyczna może przynieść ukojenie dla duszy. Kiedy w wieku siedemnastu lat stracił obydwój rodziców, or-

ganizacja charytatywna Mentors Inc. umieściła go na praktykach u mistrza stolarskiego, który specjalizował się w robieniu na zamówienie ram i szafek.

Tylko pracując, nie czuł się samotny, więc oddał się pracy z pełnym zaangażowaniem. Siłą swojej woli sprawiał, że twarde drewno przybierało wymyślony przez niego kształt. To on decydował. Był pewien, że nie musi tłumaczyć Cassie, jak wiele dała mu ta praca. Z przerażonego, wściekłego na własną bezsilność chłopca stał się dorosłym, odpowiedzialnym i dojrzałym mężczyzną.

- Te antyki są piękne. - Cichy głos Cassie sprowadził go z powrotem na ziemię. - Jaka szkoda, że nie potrafia mówić. Jestem pewna, że kryją w sobie cudowne tajemnice. - Delikatnie pogładziła oparcie bujanego fotela.

Nie dotykała mebla, lecz pieściła go. Podziwiał sposób, w jaki czerpała rozkosz z najzwyklejszych gestów. Podczas śniadania obserwował, jak oddaje się przyjemności jedzenia bułeczki. Zachwycała go jej zmysłowość.

Zgodził się odkrywać z nią rzekome tajemnice domu, co nieco go zdziwiło, jako że jego spontaniczność umarła wiele lat temu. Nauczył się, że na coś podobnego mogli sobie pozwolić inni, ale nie chłopiec, który w wieku siedemnastu lat stracił w wypadku samochodowym obydwój rodziców.

- Jak myślisz, co to za pokój? - spytał, otwierając drzwiczki misternie rzeźbionego sekretarzyka.

- Mógł należeć do twojego taty, jeżeli to zdjęcie stanowi jakakolwiek wskazówkę. - Podeszła do szafki nocnej, wzięła do

ręki srebrną ramkę i podała ją Tannerowi. - Poznajesz kogoś z nich?

Przejechał palcem po znajomych rysach młodego chłopca, siedzącego na tylnym siedzeniu czerwonego kabrioletu. Był to niewątpliwie stary thunderbird, słynny samochód dziadka. On sam, dumny ojciec, stał uśmiechnięty obok aula.

- Wyglądają na szczęśliwych, nieprawdaż?

Tanner oddał jej zdjęcie. Nie zamierzał okazywać żadnych emocji. Nie chciał myśleć o dziadku jako o normalnym, kochającym ojcu. To był potwór i tyran, który swoją żądzą władzy zniszczył rodzinę.

- Zobaczmy, co jest dalej - zaproponowała Cassie po chwili milczenia.

Jej entuzjazm rósł z każdą chwilą. Musiał być zaraźliwy, ponieważ Tanner także zaczął czuć narastające podniecenie. Nie mógł zrozumieć, jak ktoś równie ciekawy świata potrafił powstrzymać się przed zajrzeniem na pierwsze piętro, choć o poznaniu tajemnic domu marzył od wielu lat. Był pod wrażeniem silnej woli Cassie.

Tymczasem ona ruszyła do następnego pokoju.

- Jill będzie zadzierać nosa. Zawsze uważała, że w pokojach na piętrze nie ma nic szczególnego, no i miała rację. A tak bardzo pragnęłam, by okazało się, że się myliła.

- Jill to twoja siostra?

- Tak. Kompletnie pozbawiona wyobraźni. - Cassie zatrzymała się przed drzwiami do ostatniego pomieszczenia. - Dlaczego wybrałeś właśnie ten pokój?

Zamrugnął zdziwiony. Nie zrozumiał pytania.

- Jak to „wybrałem”?
- W pozostałych pomieszczeniach nie było twoich rzeczy, a zatem są z pewnością tu - wydedukowała.
- Zostawiłem torbę w pokoju na dole.
- Na dole jest tylko pojedyncze łóżko, a wszystkie łóżka na górze mają królewskie rozmiary. Ale w końcu to twój wybór. - Zwróciła się w stronę zamkniętych drzwi. - Mam nadzieję, że za tymi drzwiami znajdę wreszcie coś cudownego. - Ostrożnie weszła do środka.

Tanner podążył za nią.

- Może ten pokój jest bardziej interesujący, ale nie znajduję w nim nic szczególnie fascynującego. - Wpadające przez wysokie okna światło ukazało ich oczom niezbyt szerokie pomieszczenie biegnące przez całą długość domu. Pełniło rolę magazynu, w którym gromadzono pamiątki oraz stare, bezużyteczne sprzęty.

- Ojej - westchnęła Cassie. - Wygląda jak plan zdjęciowy do filmu Alfreda Hitchcocka.

- Brakuje jedynie kilku drapieżnych ptaków - zażartował Tanner.

W jednym końcu znajdowało się gigantyczne, dębowe biurko i regał z półkami wygiętymi od ciężaru zbyt wielu książek. Po drugiej stronie stała kanapa i kilka rzeźbionych skrzyń. Wszystkie meble skrywały się za delikatną zasłoną pajęczyn.

- Spójrz na ten gramofon, Tanner! Niemal słyszę muzykę bigbitową i widzę, jak chichoczące dziewczyny uczą się najnowszych kroków.

Patrzył z podziwem na jej entuzjazm.

- Wiedziałam! Jill i ja bawiłybyśmy się tu wybornie! Z całą pewnością zniszczyłybyśmy wszystkie tłukące się rzeczy.

więc chyba dobrze, że pan Frank nie pozwalał nam wchodzić na górę. - Wyjęła z kieszeni spodni szmatkę i zaczęła ścierać kurz.

Kichnęła, śmiejąc się i machając ręką przed nosem. Nawet płatanina lepkich pajęczyn nie potrafiła ostudzić jej entuzjazmu. Jej oczy błyszczały tak radośnie, że Tanner nieoczekiwanie zapragnął móc już zawsze dostarczać jej powodów do szczęścia. Co za niebezpieczna myśl. Przecież zamierzał wyjechać za cztery tygodnie. Zabrakłoby im czasu na... Na co? Na zbudowanie trwałego związku? Nie wierzył w związki.

Musiał zająć myśli czymś innym. Podszedł do niewielkiego, okrągłego stolika, na którym stały szklane pojemniki, a na czarnym aksamicie leżały cztery rzędy srebrnych łyżek.

- Tanner, chodź, zobacz. Znalazłam stare listy zaadresowane do twojej babci. A ty, co tam masz? - Cassie podeszła do niego i aż jęknęła z podziwu. - Te okazy kolekcjonerskie pochodzą z całego świata! Muszą być warte fortunę! Powinieneś umieścić je w jakimś sejfie.

Nagle powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Ojciec był kierowcą ciężarówki. Z każdego miasta, do którego zjechał, przywoził mamie łyżeczkę. Wielokrotnie tłumaczyli synowi, że te łyżki symbolizują ich wolność. Prawdziwa, warta fortunę kolekcja należałaby do nich, gdyby pozwolili dziadkowi kierować swoim życiem. Dziadek nalegał, by wrócili do New Haven albo przynajmniej przysłali Tannera, by chociaż wnuk korzystał z jego pieniędzy i pozycji. Odmówili.

Tanner nigdy nie mógł zrozumieć, czemu tanie łyżeczki wywoływały taką radość mamy, jakby tata ofiarowywał jej naszyjnik z pereł czy pierścionek z brylantem. Teraz, patrząc na bezcenną kolekcję, rozumiał, dlaczego dla rodziców tandetna łyżeczka była dużo więcej warta niż okaz kolekcjonerski z Paryża.

Poczuł bolesny skurcz serca. Rodzice cierpieli przez dziadka, choć nigdy by się do tego nie przyznali. Dzięki Cassie nabrał stuprocentowej pewności, że słusznie zrobił, przyjeżdżając do New Haven. Wreszcie uda mu się spełnić obietnicę, którą złożył dawno temu, gdy klęczał nad świeżymi grobami rodziców. Zemsta zawsze jest słodka.

- Tanner? Czy coś się stało?

Rozdział trzeci

- Możesz zatrzymać te listy albo je wyrzucić, jak chcesz. Wszystko mi jedno. Na dziś skończyłem zwiedzanie domu. - Tanner wyszedł z pokoju i zbiegł na dół po schodach, uciekając przed badawczym spojrzeniem Cassie.

Cholera! Nie powinien pozwolić, by cokolwiek związanego z dziadkiem i historią rodziny tak bardzo go dotknęło. Musi unikać towarzystwa Cassie. Prawdopodobnie zdążyła już wrócić do pracy. Nie potrzebowała jego pomocy, a on wciąż czuł się zawstydzony tym, że pozwolił, by zobaczyła, jakie wrażenie wywarła na nim kolekcja srebrnych łyżeczek.

Z kuchni dobiegło go ciche podśpiewywanie. Nie pozwalało mu zapomnieć, że nie jest w domu sam, a jednocześnie przywodziło na myśl ciepłe wspomnienia o ukochanej mamie. Kuchnia była jego ulubionym miejscem w niewielkim domu, w którym dorastał w Teksasie. Tam odrabiał lekcje, ponieważ lubił, gdy mama podsuwała mu przekąski i napoje. Przynajmniej tak mówił. Nastoletni chłopiec nie mógł przecież przyznać się otwarcie, że bliskość mamy, jej melodyjny śpiew i cicha krzątnina uspokajają go.

Nie troszczyła się o niego przesadnie, ale zawsze wiedziała, czego i kiedy potrzebuje. Czuł się bezpieczny i kochany. Gdy dziadek nasilił starania o przysłanie wnuka do New Haven, Tanner nie miał najmniejszych wątpliwości, co wybrać. Wiedział, że jego miejsce jest przy rodzicach. Kochał ich i tylko na nich mógł polegać.

Ale to było dawno temu. Dalsze życie nauczyło go, że nie można wiązać swego losu z drugą osobą.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić, a to nie było dla niego typowe. Prowadzenie firmy budowlanej codziennie stawiało przed nim mnóstwo problemów: niepewna pogoda, częsta rotacja pracowników, niesolidność dostawców. Lubił pracę na świeżym powietrzu, ale wypełnianie papierków w biurze powodowało, że niemal się dusił.

Wiedział jedynie, że nie potrafi tak po prostu nic nie robić. Poza tym musiał kiedyś w końcu stawić czoło Cassie. Pchnął delikatnie kuchenne drzwi i natychmiast poczuł znajomy zapach wanilii. Musiała zużywać tego przynajmniej kilogram dziennie!

Stała odwrócona do niego plecami i starannie zdzierała starą tapetę. Wyobraził sobie kuchnię po remoncie - z odmalowanymi meblami i zielonymi roślinami. Widział siedzącą przy stole Cassie, trzymającą na kolanach maleńkiego chłopca o ciemnych włosach i niebieskich oczach.

Ten obrazek miał wypisany też tytuł: „To jest twój dom”. Rodzina. Nie, nigdy nie pozwolił sobie na takie pragnienia. Życie było zbyt niepewne, żeby wiązać się na stałe z przedmiotami, miejscami, ludźmi.

Oczywiście, chodził na randki, ale umawiał się tylko z kobietami, które podzielały jego poglądy. Nigdy nie myślał o małżeństwie, a tym bardziej o założeniu rodziny. Bardzo przeżył utratę rodziców. Na samą myśl o tym, że mógłby stracić także żonę lub dziecko, dostawał dreszczy. Nie zniósłby tego. Dlatego nie zamierzał z nikim się wiązać.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytał.

Cassie odwróciła się. Na jej twarzy malowało się szczerze zdziwienie.

- Słucham?

- Nie potrafię tak po prostu beczynnie siedzieć - oświadczył stanowczo.

- Jeżeli jest coś, o czym chciałbyś porozmawiać, chętnie cię wysłucham.

- Najlepiej będzie, jeśli po prostu znajdziesz mi jakieś zajęcie.

Przechyliła głowę, przyglądając się mu badawczo.

- No dobrze. Właściwie nawet jesteś mi potrzebny. Chciałabym omówić z tobą kolor, na jaki mam pomalować meble, i wybrać wzór tapet. Proponowałabym białe meble, ale wiem, że większość mężczyzn woli naturalny kolor drewna. Uważam jednak, że kuchnia byłaby wtedy zbyt ciemna i mało przytulna.

- Mógłbym mieć na ten temat jakieś zdanie, gdybym planował tu zamieszkać, ale ja chcę sprzedać ten dom jak najszybciej. Pomaluj szafki na taki kolor, który według ciebie przyciągnie najwięcej kupców.

Wzdrygnęła się.

- Twój dziadek miał nadzieję, że uczynisz z posiadłości Fairfaksów swój dom. W swoim liście pisał... Mogę się założyć, że nawet nie przeczytałeś tego listu!

Tanner stanął jak oniemiały.

- Skąd wiesz o liście?

- Byłam tutaj, gdy go pisał. Tak bardzo chciał cię zobaczyć i błagać o przebaczenie. Napisał więc list, a ja go wysłałam. Proszę, przeczytaj go, zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję.

O nie, ani tłumaczenie, ani przeprosiny nie wynagrodzą krzywdy wyrządzonej rodzicom.

- Nie interesuje mnie to.

- Nie chcesz nawet rozważyć możliwości zatrzymania domu, Tanner...

Gdyby mógł w jakikolwiek inny sposób zemścić się na dziadku, jego noga nigdy nie postałaby w rodzinnej posiadłości Fairfaksów.

- Nie znasz całej historii. Gdybyś ją знаła, nie prosiłabyś mnie o coś takiego.

- Twój dziadek opowiedział mi wszystko, Tanner. Wiem, że wydziedziczył twojego ojca, gdy ten ożenił się z twoją mamą, która była wówczas w ciąży z tobą. Wiem też, że odkąd skończyłaś pięć lat, aż do śmierci twoich rodziców, na zmianę groził im i próbował ich przekupić, by przysłali cię tutaj. I chociaż twoja babcia błagała go, by prosił twojego tatę o przebaczenie, nie zrobił tego.

- A więc powinnaś rozumieć, dlaczego zamierzam sprzedać dom.

- Rozumiem, że jesteś wściekły na dziadka, masz do tego pełne prawo, ale przysięgam, że bardzo się zmienił i chciał wszystko naprawić. Czy choć przez chwilę zastanowiłeś się ud tym, jak się poczujesz, gdy poznasz prawdę o nim? Czy będziesz potrafił wybaczyć samemu sobie, że byłeś zbyt dumny by przyjąć jego przeprosiny i nie pogodziłeś się z nim przed jego śmiercią? Jeżeli sprzedasz ten dom, swoje dziedzictwo, poczujesz się jeszcze gorzej.

- Nie przejmuj się mną. Zresztą, co cię to w ogóle obchodzi? Ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego!

- Na swój sposób ma. Gdy umarł mój tata, doświadczyłam czegoś podobnego. Kilka dni przedtem pokłóciliśmy się i nie odzywaliśmy się do siebie, a potem nagle on umarł. Najpierw czułam się winna. Uważałam, że to moje słowa spowodowały u niego zawał serca. Później byłam zła na niego, że zostawił mnie samą. W końcu znienawidziłam siebie za to, że nie potrafiłam się z nim pogodzić, nie wyciągnęłam pierwszej ręki. Minęło wiele czasu, nim sobie wybaczyłam. Ale gdy to się stało, po raz pierwszy od lat poczułam wewnętrzny spokój. To było...

Tanner pokręcił przecząco głową.

- Ile miałaś wtedy lat? Dziewięć? Sądzę też, że twój tata był dobrym człowiekiem. Mamy całkowicie różne doświadczenia.

- Dobrze, zapomnijmy o tyra. A co z twoją babcią? Nigdy cię nie skrzywdziła... A twój tata? Dorastał w tym domu. Był z nim związany. Pomyśl, Fairfaksowie rodzili się i umierali właśnie tutaj.

- Moi rodzice zmarli w Tyler w Teksasie. Gdyby testament nie wymagał, bym mieszkał w tym domu przez miesiąc, już dawno bym go sprzedał. Adwokat powiedział mi, że posiadłość cieszy się dużym zainteresowaniem.

- Oczywiście. To piękny budynek i spory kawałek ziemi, ale chyba nie mówisz poważnie...

- Ja nie żartuję. Zamierzam sprzedać dom temu, kto zapłaci najwięcej.

Zmarszczyła brwi, po czym odwróciła się i zajęła pracą.

- Jeżeli tak ci zależy na tej posiadłości, może ją kupisz?

Jej zielone oczy skrzyły się groźnie.

- Może to zrobię - odparła z determinacją w głosie. Tanner zdał sobie sprawę, że Cassie nie żartuje.

- Dlaczego ten dom jest dla ciebie taki ważny?

- To nie jest byle jaki dom, Tanner! - powiedziała ostrzej, niż zamierzała. - Tu twoja prababka urządziła swoje słynne przyjęcia dla elity New Haven. - Wskazała ręką na sufit. - Z tego dachu skoczył twój tata, ponieważ założył się z kolegą, że nie stchórzy, i złamał rękę. W bawialni stoi skrzynia pełna pożółkłego papieru i połamanych kredek świecowych, którymi malowałam, gdy jako mała dziewczynka przychodziłam tu z mamą w odwiedziny. Pewnie należały do twojego taty. Ten dom jest pełen wspomnień, których nie można wyrzucić.

- Ty możesz żyć przeszłością, ja wolę teraźniejszość. Jeżeli zapłacisz odpowiednią sumę, dom będzie twój. Ale przedtem trzeba wykonać szereg prac. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Cassie pokręciła przecząco głową.

- To byłoby nie w porządku. Zapłacono mi.

- Nikomu nie powiem, więc jeżeli ty też nie zdradzisz naszego sekretu...

- Jestem niezwykle wymagającym szefem. Zresztą, obiecałam twojemu dziadkowi, że zajmę się wszystkim osobiście.

Czekał spokojnie, podczas gdy Cassie przyglądała się mu badawczo.

- Malowałaś już kiedyś?

Wolał pracować z surowym drewnem. Lubił je mierzyć, ciąć, a potem tworzyć coś z niczego. Do malowania miał do-

świadczonych ludzi. Uważał jednak, że wystarczająco wiele razy obserwował ich pracę, by móc uznać, że zna się na tym co nieco.

- Nie za bardzo, ale mam zręczne ręce i szybko się uczę. Przecież pod twoją opieką nie wyrządzą zbyt wielu szkód.

Cassie wciąż się wahała.

- Spójrz na to z innej strony, Cassie. Jestem właścicielem, prawda? Więc jeżeli coś zepsuję, to mój problem.

- No cóż, rzeczywiście jesteś tu szefem - przyznała w końcu, choć bez entuzjazmu. - Uważam, że to kiepska decyzja, ale jeżeli chcesz, możesz pomalować podkładem wszystkie drewniane wykończenia. Tu masz pędzel. Jesteś pewien, że spodobają ci się białe szafki?

- Wszystko mi jedno. Choć widzę, że musiałaś być pewna mojej odpowiedzi, skoro przyniosłaś ze sobą białą farbę.

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę chcesz to robić?

- Tak. - Skinął głową.

- No dobrze, ale pytaj, gdybyś miał jakieś wątpliwości, i powiedz mi, kiedy ci się znudzi. Umowa stoi?

Przytaknął.

Cassie wróciła do zdzierania starej tapety, zerkając co chwila przez ramię na Tannera. Nie miał jej tego za złe. On także nie lubił, gdy obcy ludzie ingerowali w jego pracę. Na jej miejscu prawdopodobnie nie zgodziłby się.

Malowanie okazało się trudniejsze, niż sądził. Od zapachu podkładu kręciło mu się w głowie, ale przynajmniej przestał zajmować się bolesnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Z każ-

dym pociągnięciem pędzla otwarte ponownie tego ranka rany zablizniały się.

- Tanner, bardzo doceniam twoją pomoc - usłyszał po ja kimś czasie głos Cassie. Zdenerwowany, że mu przeszkadza, odwrócił się w jej stronę. - Ale nie mogę na to pozwolić -kontynuowała. - Jestem pewna, że masz ważniejsze sprawy. Pewnie chciałbyś dowiedzieć się jeszcze wielu rzeczy na temat posiadłości dziadka, skoro zamierzasz ją sprzedać.

- Mam dużo pytań, to prawda - odparł. Chociażby w jaki sposób okrutny potwór, jakim był jego dziadek, mógł być spokrewniony z tak wspianym i szlachetnym mężczyzną jak jego ojciec? Jak można wydziedziczyć własnego syna za to, że postanowił ożenić się z matką swojego dziecka?

Odłożył pędzel, po czym przyjrzał się swoim ubrudzonym na biało dłoniom i efektem swojej działalności. Więcej podkładu znalazło się na ubraniu i podłodze niż na drewnianych wykończeniach, które miał pomalować.

- Chyba nie najlepszy ze mnie malarz - skomentował. Wciąż wpatrywał się w swoje dłonie. Dlaczego ręce, które tak dobrze radziły sobie z młotkiem i śrubokrętem, były całkowicie bezradne, jeżeli chodzi o pędzel? - A wygląda to tak łatwo... Przepraszam, że zrobiłem bałagan. Zaraz po sobie posprzątam.

- To żaden problem, naprawdę. Jestem pewna, że to tylko kwestia czasu i doświadczenia.

Ciepło w głosie dziewczyny sprawiło, że Tanner od razu poczuł się lepiej. Była dla niego bardzo miła, a on uraził ją, mówiąc, że sprzeda posiadłość temu, kto zapłaci najwięcej. Zach-

wał się jak palant, wyzywając się na niej, choć tak naprawdę był wściekły na dziadka.

Cassie przyglądała się mu uważnie. Na jego twarzy malowała się mieszanina zdziwienia i zażenowania. Został zdradzony przez własne ręce. Zdenerwowanie, które poczuła, gdy oświadczył, że sprzeda posiadłość Fairfaksów temu, kto najwięcej zapłaci, zaczynało powoli znikać. Wiedziała, że w głębi serca Tanner ma pretensję do dziadka, nie do niej.

W pewnym stopniu podziwiała jego lojalność względem rodziców. Wyglądało na to, że należał do ludzi, którzy nigdy nie cofną raz danego słowa. Ale ta sama cecha charakteru powodowała, że nie był w stanie przebaczyć dziadkowi.

Pozwoliła Tannerowi malować, sądząc, że jeżeli włoży w wygląd domu odrobinę wysiłku, poczuje się z nim bardziej związany. Cóż, może znajdzie jakiś inny sposób, w jaki umiałby jej „pomóc”, bo w malowaniu z całą pewnością się nie sprawdził.

- Masz. Użyj tego. - Cassie podała mu szmatkę nasączoną rozpuszczalnikiem.

Wytarł niedbale dłonie, a gdy oddawał dziewczynie wilgotny kawałek materiału, ich palce zetknęły się na moment.

Cassie nie mogła się ruszyć. Jej ciało przeszły niesamowita, zatrzymująca oddech energia. Równie silnego wstrząsu nie doznała od czasu, gdy w wieku pięciu lat włożyła metalową agrafkę do kontaktu. Ale w przeciwieństwie do doświadczenia z dzieciństwa, które kojarzyło się jej przede wszystkim z bólem, teraz odczuwała jedynie podekscytowanie i radosne oczekiwanie.

Próbowała zrzucić winę za swoją dziwną reakcję na opary rozpuszczalnika, ale dobrze wiedziała, że przez lata zdążyła się już przyzwycząić do tego zapachu.

Tanner patrzył na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, a jej pobrudzony, wytarty strój roboczy był najseksowniejszą kreacją. Patrzył na nią jak na kobietę.

W pierwszej chwili chciała uciec, ale jednocześnie zapragnęła przekonać się, co takiego stałoby się, gdyby pozwolili sobie na coś więcej niż tylko przypadkowy dotyk. Gdyby ich usta zetknęły się...

Tanner zamrużył powiekami, jakby budził się z transu. Wsunął ręce do kieszeni spodni i zrobił krok do tyłu.

- Myślę, że wyrządziłem już wystarczająco dużo szkód. Lepiej będzie, jeśli stąd wyjdę. Pójdę zajrzeć do garażu.

Cassie odetchnęła z ulgą. Jedyną prawdziwą szkodą była jej zaburzona równowaga emocjonalna. Co gorsza, jego reakcja stanowiła dowód, że nie tylko ona doznała wstrząsu.

- Dobry pomysł. - Wyjęła kluczyk z szafki na szczołki. - Będzie ci potrzebny - powiedziała, zadowolona, że Tanner także zamierzał zignorować istniejącą między nimi chemię.

- Dzięki - wymamrotał, wychodząc pospiesznie kuchennymi drzwiami.

- Nie. to ja ci dziękuję - wyszeptała, wdzięczna, że sobie poszedł.

Tanner wyszedł i przystanął na chwilę na bocznej werandzie. Musiał znaleźć się jak najdalej od tej niebezpiecznej kobiety. Wziął głęboki oddech. W powietrzu poczuł zapowiedź popołu-

dniowej burzy, ale nie obeszło go to. Będzie padać, i co z tego? Myślał jedynie o niesamowitych iskrach pożądania, które rozpały jego ciało pod wpływem dotyku Cassie. Pociągała go. Pragnął jej. To dokuczało mu bardziej niż parne i wilgotne powietrze. Zrobiłby wszystko, by uniknąć ponownej konfrontacji.

Co by było, gdyby się pocałowali? Nie. Nie potrzebował żadnych komplikacji. Przyjechał do New Haven tylko w jednym celu - by pomieszkać w domu przez określony czas, a następnie go sprzedać, mszcząc się w ten sposób za krzywdy wyrządzone rodzicom.

Nie chciał wysłuchiwać, jak Cassie ciepło opowiada o jego podstępny dziadku. Nie zamierzał zaprzyjaźniać się z nią, a krótkotrwały romans nie wchodził w grę. Musiał znaleźć w sobie dostatecznie dużo siły, by oprzeć się jej urokowi... ale w jaki sposób? Nie potrafił jej odmówić, bez względu na to, czy chodziło o kolor kuchennych szafek, czy o zgodę na zwiedzenie pierwszego piętra. Zawsze lubił swoje życie właśnie za to, że jest takie poukładane, a Cassie była zbyt spontaniczna, za łatwo ulegała impulsom.

Nie rozumiał tylko, dlaczego tak bardzo przeszkadzało mu, że jest zadomowiona w posiadłości Fairfaksów. Wiedziała, gdzie znaleźć szczotkę, by posprzątać bałagan, i gdzie jest klucz do garażu. Jej pełne usta opowiadały mu historię domu, w którym urodzili się jego przodkowie. W końcu wielokrotnie odrzucił propozycję zamieszkania z dziadkiem, więc nie powinno mu przeszkadzać, że ktoś zajął jego miejsce, a jednak stanowiło to dla niego problem, choć nie wiedział dlaczego.

Nagle na podjeździe zatrzymał się czarny lexus. Wsiadł z niego pan Samuels, adwokat, z którym Tanner spotkał się już poprzedniego dnia. Był tak wysoki i chudy, że sprawiał wrażenie, jakby pierwszy silniejszy podmuch wiatru mógł go przewrócić.

- Dzień dobry, panie Fairfax.

- Proszę mówić do mnie po imieniu. Dzień dobry. Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony Tanner.

- Nie, ależ skąd. - Adwokat nachylił się w jego stronę, wyraźnie zatroskany. - Czy miałeś jakiś wypadek?

W pierwszej chwili Tanner nie zrozumiał pytania. Dopiero gdy spojrzał na swoje pochłapane farbą ubranie, zdał sobie sprawę, że wygląda cokolwiek dziwnie.

- Nie, to długa historia.

- Rozumiem, że panna Leighton dobrze sobie radzi z remontem?

- Oczywiście. - A jeszcze lepiej z wytrącaniem mnie z równowagi, dodał w myślach. - Czy przyszedł pan w jakiejś konkretnej sprawie?

- Jeżeli mam być szczery, tak. Mam do ciebie prośbę. Tanner od razu stał się podejrzliwy.

- O co chodzi?

- W przyszłym miesiącu obchodzimy święto założycieli miasta. Tradycyjnie urządzamy tego dnia festyn i paradę. Ponieważ jeden z twoich przodków był głównym założycielem New Haven, co roku ktoś z rodziny Fairfaksów jedzie na czele pochodu w czerwonym thunderbirdzie Franka. Czy zechciałbyś poprowadzić paradę w tym roku?

Tanner nie ukrywał zdziwienia.

- Ja?

- Oczywiście, przecież jesteś Fairfaksem. Rada miasta odbyła w tej sprawie specjalne zebranie wczoraj w nocy i jednogłośnie podjęto taką decyzję.

Co za szalony pomysł!

- Przykro mi, ale nie interesują mnie lokalne parady. Za to mam kilka pytań. Czy mógłby pan zorganizować jak najszybszą sprzedaż domu?

Na twarzy wysokiego mężczyzny odmalował się wyraz zawodu, a potem smutku.

- Oczywiście, choć najpierw musisz wypełnić warunki testamentu, inaczej cała posiadłość i wszystkie zgromadzone w domu przedmioty przejdą na własność Towarzystwa Historycznego.

- Zapewniam pana, że do tego nie dojdzie. - Ostatnią rzeczą, jakiej Tanner pragnął, było, by dom zamieniono na muzeum ku czci jego dziadka.

- Nie możemy podjąć żadnych oficjalnych kroków przez najbliższe trzydzieści dni, co oznacza, że przetarg wolno nam ogłosić dokładnie pierwszego dnia festiwalu. A wtedy całe miasto bierze udział w uroczystościach, dlatego najlepiej zorganizować licytację w późniejszym terminie.

- Czy muszę być obecny podczas aktu sprzedaży?

- Nie. W rzeczy samej, większość osób woli tego unikać. Widok rodzinnych pamiątek przechodzących w obce ręce jest najczęściej zbyt bolesny. Doskonale to rozumiem.

Tanner omal się nie roześmiał. Niczego innego nie pragnął bardziej, niż zobaczyć, jak najcenniejsze skarby dziadka wędrują za bezcen do obcych ludzi. Dochód z aukcji zamierzał przekazać Mentors Inc., organizacji charytatywnej, która zajęła się nim po śmierci rodziców. Gdyby nie skontaktowano go wtedy z mistrzem stolarskim, prawdopodobnie wyładowałby na ulicy. Chciał spłacić ten dług. Inne dzieci także zasługiwały na pomoc.

- Proszę zorganizować aukcję w terminie, który uważa pan za najlepszy, choć nie ukrywam, że zależy mi na czasie. Proszę pamiętać, że zostało mi już nie trzydzieści, lecz dwadzieścia dziewięć dni. W poniedziałek umieszczę na trawniku tablicę z napisem: „Na sprzedaż”.

- Jesteś pewien, że nie chcesz skorzystać z usług agenta nieruchomości?

- To chyba nie jest zbyt skomplikowane, powinienem poradzić sobie sam.

- Dobrze, zajmę się zorganizowaniem aukcji. A jeśli chodzi o święto miasta, czy moglibyśmy przynajmniej pożyczyć samochód twojego dziadka? To ważne dla wszystkich mieszkańców. Twój dziadek był bardzo szanowany.

- Wszystko mi jedno. - Tanner stłumił ciekawość, jaką odczuwał na myśl o zabytkowym aucie. Kiedyś, gdy w branży budowlanej panował sezon ogórkowy, zajmował się naprawą starych samochodów.

- Oczywiście, zapłacimy za serwis i wypożyczenie. Przez chwilę Tanner miał ochotę zaproponować, że sam

doprowadzi samochód do stanu używalności, ale szybko ugryzł się w język. Znajdzie inny sposób, by zapełnić czymś

czas. Cassie z całą pewnością nie dopuści go już nigdy więcej do pomocy. Trudno. Znajdzie sobie inne zajęcie.

- Wszystko mi jedno.

- Widzę, że nie odziedziczyłeś po ojcu i dziadku ich miłości do remontowania samochodów. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy, przejeżdżając tedy, widziałem ich obydwu pochylonych nad otwartą maską samochodu.

Tanner pierwszy raz o tym słyszał. Sam w dzieciństwie spędzał wiele czasu, reperując z ojcem jego ciężarówkę. Zawsze wtedy wracali do domu umazani smarem, ale uwielbiali to. Ojciec uczył go nie tylko budowy silnika, ale i tego, co jest tak naprawdę najważniejsze w życiu.

Odczuł niemiłe ukłucie zazdrości. Nie sądził, że coś, co go łączyło z ojcem, mogło mieć jakikolwiek związek ze zniechęconym dziadkiem.

- Twój dziadek zawsze się chwalił...

- Przepraszam, że panu przerywam, panie Samuels, ale jestem zajęty, a chciałbym jeszcze zadać panu kilka pytań.

- Oczywiście. W czym mogę ci pomóc?

- Czy ma pan wszystkie dokumenty posiadłości Fairfaksów? Czy mój dziadek miał jakieś dodatkowe życzenia przed śmiercią?

Adwokat zmarszczył brwi.

- Co sugerujesz, młody człowieku?

- Ależ nic - zapewnił Tanner. Zależało mu, by mieć adwokata po swojej stronie. - Jak każdy biznesmen, chciałem się po prostu upewnić, czy posiadam wszystkie informacje.

- Zupełnie, jakbym słyszał twojego dziadka. - Adwokat uśmiechnął się smutno.

Tanner zdawał sobie sprawę, że w oczach pana Samuela to porównanie uchodziło za komplement, natomiast jemu robiło się niedobrze na samą myśl o tym, że cokolwiek może go łączyć z tym tyranem

- Zapewniam cię, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Jeżeli chodzi o pieniądze, które rozdysponował przed śmiercią, miał do tego pełne prawo.

Tanner skinął głową.

- Rozumiem, że Cassie i mój dziadek byli ze sobą bardzo związani. Czy zapisał jej coś w spadku?

- Frank z chęcią by jej coś zostawił, gdyby tylko zgodziła się to przyjąć. Leightonowie są bardzo dumnymi ludźmi. Gdy Frank próbował przekazać Cassie jedną ze swoich firm, od razu odmówiła. Przejęła ją, ale przedtem zapłaciła uczciwą cenę. Wiem jedynie, że kilka lokalnych organizacji charytatywnych otrzymało od Franka dotację na krótko przed jego śmiercią. Masz jeszcze jakieś pytania?

- W tej chwili nie. Chcę się tylko upewnić, że dobrze się zrozumieliśmy. Nie zamierzam prowadzić tego samochodu podczas parady! - oświadczył dobitnie.

- Rozumiem, rozumiem. Ale gdybyś zmienił zdanie, nawet jeżeli miałyby to miejsce w ostatniej chwili, bylibyśmy zachwyceni. Zadzwoń wkrótce i powiem, kiedy ktoś przyjdzie odebrać samochód i dostarczyć dokumenty dotyczące posiadłości.

- Im szybciej, tym lepiej.

Starszy mężczyzna skinął głową. Uściśnął dłoń Tannera i wsiadł do swojego czarnego lexusa.

Nie oglądając się za siebie, Tanner ruszył w stronę garażu. Tymczasem słońce schowało się za ciemnymi chmurami, a z nieba spadły pierwsze krople deszczu.

Z łatwością przekreślił klucz w zamku i pchnął z całej siły drewniane drzwi. W powietrzu unosił się zapach smaru i skóry. Zaparkowany po środku garażu samochód przykryty był firmowym pokrowcem, spod którego wystawały chromowane koła. Tanner wziął do ręki róg materiału i powoli ściągnął plandekę. Czuł narastające napięcie. Nie ulegało wątpliwości, że ma do czynienia z prawdziwym cudem. Zdejmowanie pokrowca przypominało rozbieranie pięknej kobiety. Co z tego, że wiedział, czego się może spodziewać? I tak było to nadzwyczaj ekscytujące.

Powiesił plandekę na poręcz, a następnie opuścił dach kabrioletu. Thunderbird z 1957 roku, z tapicerką z czerwonej i białej pikowanej skóry, nie pasował do zakurzonego garażu. Obszedł auto dookoła, by zobaczyć, w jakim jest stanie.

Zagwizdał z uznaniem. Prawdziwe cacko! Jakie to typowe dla dziadka... Więcej uwagi poświęcał starymu samochodowi niż własnej rodzinie.

Rodzina. To słowo przypomniało mu zdjęcie, które oglądał razem z Cassie.

Nachylił się do przodu, by dotknąć skóry na tylnym siedzeniu, na którym jako dziecko siadał jego ojciec. Tyle wspólnych przeżyć, tyle intymnych szczegółów życia rodzinnego... wszystko

przepadło z powodu nienawiści wypełniającej serce jednego mężczyzny.

- Przestań się nad sobą użalać - skarcił samego siebie. Podniósł maskę i przekonał się, że silnik jest w równie doskonałym stanie co karoseria.

Garaż, w którym kiedyś dorabiał, zajmował się przede wszystkim samochodami z czasów, gdy nikt jeszcze nie słyszał o komputerach. Bez trudu mógłby serwisować to cacko, znał się na tym.

Sprawdził poziom płynów i stan hamulców, starając się nie myśleć o tym, jak kiedyś robili to razem dziadek i ojciec.

Teraz, gdy przyjrzał się thunderbirdowi, nie mógł zrozumieć, jak ojcu mogło sprawiać przyjemność zajmowanie się ich starą ciężarówką. Jednak dla niego każda chwila spędzona z tatą była na wagę złota.

Być może dawno temu *ojciec i dziadek* czuli się *ze sobą* równie mocno związani.

Gdy dziadek zażądał od taty porzucenia kobiety, którą kochał i która nosiła w łonie jego dziecko, tata odwrócił się od swoich rodziców, a tym samym od bogactwa i pozycji, jaką niosła ze sobą przynależność do rodziny Fairfaksów. Najwyraźniej jego związek z ojcem nie był wystarczająco silny. I całe szczęście. Tanner nie chciał myśleć o tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby tata nie był człowiekiem honoru.

Dałby wszystko, by przywrócić życie rodzicom, ale oni odeszli na zawsze. Gdyby dziadek naprawdę żałował swojego postępowania, mógł w każdej chwili wyciągnąć do nich rękę. Ale nie, zerwał wszelkie kontakty, raniąc głęboko jedynych ludzi,

których Tanner kiedykolwiek kochał. Teraz Tanner zamierzał pomścić wyrządzoną im krzywdę, sprzedając po kolei wszystkie przedmioty, które dla Franka Fairfaksa były cenniejsze niż jego własny syn.

RS

Rozdział czwarty

Cassie zatrzymała się przy krawężniku oświetlonym przez pojedynczą latarnię, by zobaczyć, czy nie jedzie jakiś samochód. Z ciemnego nieba lało jak z cebra, ale to utwierdzało ją tylko w postanowieniu odwiedzenia posiadłości Fairfaksów.

Ostry wiatr niemal ją przewrócił, po czym nagle zmienił kierunek i unióśł do góry jej pomarańczowe poncho. Jęknęła, czując, że krótkie spodenki i koszulka, które miała na sobie, całkowicie przemokły.

No cóż, nic już nie mogła na to poradzić, ale koniecznie musiała sprawdzić, czy naprawiony niedawno dach nad kuchnią nie zaczął znowu przeciekać.

Owinęła się przemoczoną tkaniną, wzięła głęboki oddech i przebiegła na drugą stronę ulicy, po czym ruszyła w kierunku garażu. Uderzyła pięścią w ciężkie, drewniane drzwi.

- Tanner, to ja, Cassie. Otwórz, proszę!

Miała nadzieję, że uniknie spotkania z Tannerem aż do następnego dnia. Teraz, gdy nie uległo wątpliwości, że obydwójce bardzo się pociągają, potrzebowała jak najwięcej czasu, by przygotować się psychicznie do dalszych kontaktów, ale obietnica, jaką złożyła na łożu śmierci serdecznemu przyjacielowi, była dla niej ważniejsza niż dobre samopoczucie. Wcześniej też zdarzało się jej pracować dla atrakcyjnych klientów i jakoś sobie z tym

poradziła. Miała do wykonania zadanie, nic więcej nie powinno jej interesować.

- Czyś ty oszalała? - Tanner potrząsnął nią za ramiona, a jego twarz przybrała surowy wyraz. - Biegasz po dworze w czasie burzy?!

Co mi tam deszcz i pioruny, pomyślała. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwiło w bliskości Tannera, który nie miał na sobie koszulki. Nie mogła oderwać wzroku od jego szerokich, nagich ramion. Marzyła, by pogłodzić je dłonią, sprawdzić gładkość skóry i napięcie mięśni.

Zamiast tego skrzyżowała ręce na piersi. Przestań zachowywać się jak głupiutka nastolatka, skarciła się w duchu, czyżbyś nigdy nie widziała nagiego mężczyzny? Tak, ale Tanner był inny...

Biła od niego pewność siebie.

Wciągnął ją do garażu, jakby ważyła nie więcej niż worek pieczywa. Jeszcze kilka godzin temu dotyk tych samych rąk sprawił, że ugięły się pod nią nogi. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła.

- Cassie, odpowiedz. Co takiego się wydarzyło, że ryzykując, przybiegłaś do mnie w czasie burzy?

Ryzyko. Dobre słowo na określenie tego, co robiła. Igrała z ogniem, wdając się z Tannerem w bardziej osobiste stosunki. Powinna ograniczyć kontakty z nim do spraw czysto zawodowych. Bała się jego dotyku, a właściwie sposobu, w jaki na nią działał.

- Martwiłam się o dach. Sprawdzales, czy przetrwał burzę? - Wprawdzie ufała swojemu dekarzowi, ale prace w posiadłości Fairfaksów były dla niej ważniejsze niż jakikolwiek inny remont.

- Nie, podziwiałem samochód. Cassie zerknęła mu przez ramię.

- Nie dziwię się. To prawdziwe чудо. Nigdy nie zapomnę, kiedy pan Frank pozwolił mi po raz pierwszy go poprowadzić. To było...

- Przestań zmieniać co chwila temat. O co chodzi z tym dachem? Myślałem, że został już naprawiony.

- Tak, ale od paru tygodni w ogóle u nas nie padało, więc chciałam się przekonać, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku. Muszę się upewnić, zanim położę nowe tapety, nie mówiąc już o tym, co mała powódź zrobiłaby z nową podłogą - wyjaśniła. - Problemy z dachem oznaczałyby znaczne opóźnienia w remoncie.

- W takim razie chodźmy. - Zdjął z maski swoją koszulkę.

- Nie ma powodu, żebyśmy obydwójce całkiem przemokli. Jeżeli dom jest otwarty, zajrzę szybciotko do środka, a ty możesz nadal majstrować przy aucie.

- I tak zamierzałem już kończyć. Chodźmy. - Naciągnął koszulkę przez głowę.

Cassie wpatrywała się w jego napięte mięśnie, z trudem oddychając.

- Twoja decyzja.

Unikając wszelkiego kontaktu fizycznego z Tannerem, z całej siły pchnęła ciężkie drzwi, nim zdążył je przed nią otworzyć.

Przytrzymując na głowie czapkę, pobiegła w stronę zadaszanej werandy.

Tanner przybiegł tuż za nią. Otarł z twarzy krople deszczu i zrzuciwszy przemoczone buty, otworzył kuchenne drzwi.

Cassie zdjęła mokre sandały i pomarańczowe poncho, po czym weszła do kuchni. Przyjrzała się dokładnie sufitowi, ale nie zauważyła żadnych oznak zalania. Podłoga też była sucha. Ani jednej kropli. Najwyraźniej dach wytrzymał burzę. Całe szczęście. Ukłękła i przejechała dłonią po posadzce. Sucha jak pole kukurydzy w lipcowym słońcu.

- Przepraszam za fałszywy alarm - powiedziała, podnosząc się z klęczek.

Tanner miał dziwny wyraz twarzy. Czyżby znowu coś mu się nie podobało? Była przemoczona do cna i z wyglądu przypominała zapewne zmokłą kure, ale co z tego?

Zdenerwowana, skrzyżowała ramiona na piersi i już chciała go pouczyć, że nawet przemoczone kobiety zasługują na odrobinę szacunku, gdy poczuła, że biała koszulka, całkowicie mokra, przykleiła się do jej nagiego ciała. Przez cienką bawełnę prześwitywały jędrne piersi, pobudzone przez chłodny deszcz i zmysłowość stojącego naprzeciwko mężczyzny.

No tak, zaaferowana stanem klepki nie pomyślała nawet, że przemoczone ubranie z całą pewnością umożliwiłoby jej start w konkursie na miss mokrego podkoszulka. Tanner mógł do woli podziwiać wzór jej koronkowego biustonosza.

O dziwo, wcale się nie zawstydziała. W jego błękitnych oczach płonęło takie pożądanie, że zamiast okryć się czymś, opuściła rękę, by jeszcze bardziej wyeksponować niemal nagie piersi.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się gorąco. Cassie z trudem łapała oddech. Zauważyła, że Tanner miał ten sam problem. Jak to się stało? Musi jak najszybciej wydostać się stąd. Gdyby tylko jej nogi nie odmawiały posłuszeństwa...

Tanner nie mógł oderwać wzroku od seksownego wzoru na koronkowym biustonoszu Cassie i od jej jędrnych piersi, które wprost domagały się jego pieczyt. Zaciśnął szczęki. Nigdy wcześniej nie pragnął tak bardzo żadnej kobiety.

Widziała, że wpatruje się w jej biust i dawała mu na to przyzwolenie. Mógłby przysiąc, że pragnęła go równie silnie jak on jej.

Próbował sobie wmówić, że po prostu zbyt wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni był z kobietą, ale w jego zainteresowaniu osobą Cassie kryło się coś więcej. Nie chodziło wyłącznie o jej wygląd. Sprawiała, że zapragnął rzeczy, którym wcześniej nie poświęcał zbyt wiele uwagi. Kiedy postawiła na parapecie doniczkę z roślinką, wyobraził sobie, jak siedzi przy kuchennym stole z dzieckiem na kolanach. Z ich dzieckiem?

Przecież nie chciał mieć dzieci, ani zakładać rodziny! W jednej chwili otrzeźwiał.

- Przyniosę ci ręcznik - powiedział i wybiegł, jakby się paliło. Bał się, że jeżeli zostanie w kuchni minutę dłużej, przestanie nad sobą panować i pocałuje jej zroszone deszczem usta.

Wrócił po chwili, niosąc gruby, biały ręcznik, który znalazł w łazience na dole. Podał go Cassie, uważając, by ich dłonie nie zetknęły się nawet przypadkiem.

- Dziękuję. - Jej uśmiech wyglądał na wymuszony. Wytarła twarz.

- Musiałam to sprawdzić dzisiaj, choć zazwyczaj nie pracuję w niedzielę...

- To dobrze. To znaczy... - Zmieszał się. - Chciałem powiedzieć, że każdy potrzebuje trochę czasu na relaks i odpoczynek. - Cholera. Dlaczego wygadywał takie bzdury?

- Zgadzam się z tobą, chociaż jeżeli o mnie chodzi, zwykle spędzam niedziele na wypełnianiu dokumentów. - Bawiła się końcem ręcznika. - W każdym razie widzimy się o dziewiątej w poniedziałek - powiedziała nieoczekiwanie, po czym pożegnała się i wyszła.

Stanął na ganku i patrzył, jak bierze do ręki przemoczone buty i równie mokre poncho, a potem przebiega pod osłoną nocy na drugą stronę ulicy. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi domu pani Boone, opuścił swój posterunek.

Zaryglował kuchenne drzwi na wszystkie zamki. Próbował sobie wmówić, że boi się włamania, choć tak naprawdę wiedział, że obawia się ponownego spotkania z Cassie. A więc była wolna. Miała okazję, by powiedzieć, że jest z kimś związana, a ona zamiast go uspokoić, wyznała, że w wolnym czasie nadrabia papierkowe zaległości.

Czyżby mężczyźni w tym mieście byli nienormalni?

Cassie pochłapała wodą niewielki fragment tapety i czekała, aż dobrze nasiąknie. Przypominała sobie wieczorny sprint w deszczu do domu Fairfaksów i sposób, w jaki Tanner przyglądał się jej piersiom oblepionym mokrą tkaniną.

- Hop hop! - usłyszała znajomy głos. Chwilę później ktoś zadzwonił do drzwi. Cassie uśmiechnęła się, odkładając narzędzia.

Tanner będzie zupełnie skołowany po kilku minutach rozmowy z panią Boone.

Podbiegła do drzwi, które oddzielały kuchnię od reszty domu, z bezwstydnym zamiarem podsłuchania rozmowy.

- Pani Boone? Co to za rzeczy? Pomogę pani!

- Nie, nie, dziękuję, to takie tam rupiecie. Przytrzymaj tylko drzwi.

Cassie uśmiechnęła się. Miała w pani Boone sojuszniczkę. W niedzielę spędziła dużo czasu ze swoją gospodynią, która pełniła również rolę lokalnego kronikarza. Całkowicie niewinnie Cassie sprowadziła rozmowę na interesujący ją temat.

Już po chwili pani Boone wpadła na pomysł odwiedzenia posiadłości Fairfaksów ze wszystkim, co mogłoby zainteresować Tannera.

Następnie Cassie zadzwoniła do matki, a ta zdradziła jej, że zamierza zaprosić Tannera na obiad. Umówiła się też ze swoim bankierem w sprawie pożyczki. Jeżeli nie uda się jej przekonać Tannera, by został w New Haven, sama kupi ten dom. Urządzi w nim pensjonat, dopóki sama nie założy rodziny, z którą mogłaby w nim zamieszkać. Miała jednak nadzieję, że takie radykalne kroki nie będą konieczne.

- O co chodzi, pani Boone?

Cassie słyszała irytację w głosie Tannera, ale jego chłodne powitanie tego ranka sprawiło, że w ogóle go nie żałowała. Wpuścił ją do środka o dziewiątej, ani razu nie spojrzawszy jej w oczy, po czym ukłoniwszy się nieznacznie, zniknął na górze. Chciała obrócić w żart niedzielny incydent, ale on wolał udać, że niemal się nie znają.

Wmówiła sobie, że niemiłe ukłucie w okolicach serca nie było związane z uczuciami, które żywiła, ani z poczuciem odrzucenia. Tanner interesował ją wyłącznie ze względów zawodowych.

Nie, po prostu martwiła się, że odsuwa się od niej, co utrudni spełnienie obietnicy złożonej panu Frankowi. Zwerbowała panią Boone do współpracy dla dobra Tannera. Powinien być jej wdzięczny, że ułatwia mu poznanie historii własnej rodziny i miasta, w którym wychowali się jego kochani rodzice i dziadkowie.

- Cassie, kochanie, jak miło cię widzieć. - Pani Boone weszła do kuchni i powitała ją serdecznie, po czym położyła na stole stertę oprawionych w skórę albumów ze zdjęciami. Jak zwykle jej pomarańczowe włosy spięte były w misterny kok na czubku głowy, a gruba warstwa makijażu pokrywała piękną niegdyś twarz. Ciepła, choć czasem surowa kobieta z miną królowej zlustrowała wnętrze.

- Jak tu ładnie, Cassie. Dobrze, że zdarłaś tę obrzydliwą tapetę. Nigdy jej nie lubiłam.

- Z tapetą powinnam skończyć jeszcze dzisiaj. Jutro zamierzam pomalować do końca podkładem meble i drewniane wykończenia.

- Wybrałaś już nową tapetę?

- Przyniosę jutro kilka próbek, ale Tanner pozostawił mi ostateczną decyzję ~ odpowiedziała za niego.

- Mądry z niego mężczyzna. Zupełnie jak jego tatuś.

Cassie spojrzała na Tannera, który stał wyprostowany z rękoma opartymi na biodrach i wpatrywał się w stertę albumów. Ciekawe, czy jego ojciec był równie seksownie zbudowany?

Tanner nawet w zwykłych dzinsach wyglądał niezwykle pociągająco.

Powróciły wspomnienia niedzielnego wieczoru. Nigdy przedtem żaden mężczyzna nie sprawił, by płonęła z pożądania. Żaden mężczyzna nigdy nie patrzył na nią tak, jakby chciał kochać się z nią całą noc. Ta reakcja na wypisane w jego błękitnych oczach pożądanie nawet jej nie zdziwiła. Ciekawe, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby Tanner nie odzyskał zdrowego rozsądku i nie odszedł w odpowiedniej chwili?

Tymczasem pani Boone zwróciła się do Tannera:

- Zauważyłam w ogródku tablicę „Na sprzedaż”. Jaka szkoda, że musisz sprzedać dom, w którym wychował się twój ojciec. New Haven bez Fairfaksów już nigdy nie będzie takie samo. Cóż, sądząc po nowym wyglądzie kuchni, przyciągniesz tłum chętnych.

- Mam nadzieję. Przepraszam, pani Boone, jesteśmy obydwoje trochę zajęci, więc...

- Oczywiście, młody człowieku. Zwykle powtarzam, że nie ma lepszego momentu na poznanie przeszłości niż terażniejszość. Miałam przecucie, że chętnie przejrzałbyś te albumy. Jestem lokalnym kronikarzem. Zresztą, już ci to mówiłam. Cała historia New Haven jest spisana w tych książkach, a twoja rodzina odgrywa w niej znaczącą rolę.

- To bardzo miłe z pani strony, ale powinna pani zabrać te albumy. Doprawdy nie wiem, kiedy i czy w ogóle znajdę czas, by je przejrzeć.

- Bzdura. Najpierw obejrzyj ten. Jest w nim dużo zdjęć twojego tatusia. - Pani Boone wyjęła zniszczony album ze środka sterty i otworzyła go na pierwszej stronie.

Cassie podeszła bliżej. Była ciekawa reakcji Tannera. Widziała te albumy setki razy i uwielbiała słuchać historii związanych ze zdjęciami. Poznanie młodości rodziców powinno się okazać fascynujące dla Tannera.

Otwarta strona zawierała szereg wycinków z prasy na temat osiągnięć sportowych Franka juniora i jego zdjęcie w stroju klubowym.

- Jaki przystojny, młody mężczyzna. I czarujący... A ty jesteś do niego bardzo podobny. Gdy tak serdecznie potraktowałaś panią Johnson, od razu pomyślałam o Franku. Ona jest już stara i czasem myli terażniejszość z przeszłością, a twój tata był jednym z jej ulubionych uczniów.

Wzruszył ramionami.

- To nic wielkiego.

Wszyscy mieszkańcy New Haven wiedzieli o chorobie pani Johnson i starali się jej pomagać, ale Cassie nie spodziewała się takiego zachowania po Tannerze. Widocznie pod powłoką twardego kryła się gołębie serce.

- Ależ skąd! Większość ludzi nie ma cierpliwości dla starszych, schorowanych osób. Najchętniej zamknęliby biedaków w jakimś ośrodku. Właśnie wczoraj...

- Bardzo dziękuję, pani Boone - przerwał jej Tanner. Uśmiechając się sztucznie, wziął ją pod rękę i wyprowadził z kuchni. - Obiecuję, że niedługo oddam albumy.

- Nie musisz się spieszyć, kochany. Pa, Cassie. Podczas gdy Tanner odprowadzał panią Boone do drzwi,

Cassie przerzuciła kartki albumu, by znaleźć zdjęcie posiadłości Fairfaksów w jej pierwotnym stanie.

Gdy usłyszała znajome kroki na schodach, wybiegła na korytarz.

- Tanner, gdzie ty idziesz? Zawahał się.

- A co? Masz jakiś problem? Zmroziła go wzrokiem.

- Nawet nie spojrzysz na albumy? Znalazłam zdjęcie domu sprzed lat. Zbudowali go twoi przodkowie. Czy rodzina naprawdę nic dla ciebie nie znaczy?

Zmarszczył czoło.

- Moja rodzina to moi rodzice. Byli dla mnie wszystkim, ale odeszli. Posiadłość Fairfaksów to tylko budynekz drewna, kamienia i szkła. Taki jak inne.

- Mylisz się, Tanner, udowodnię ci to.

- Daj spokój, Cassie. Pójdę...

- Nie, poczekaj. - Przeszła przez salon do schowka pod schodami. Latarka nie chciała zadziałać. Cholera. Pewnie baterie są zużyte. Potrzebowała światła. Szybko. Zanim Tanner się rozmyśli.

Zdecydowała się na świeczkę oraz pudełko zapalek i pobiegła z powrotem w kierunku schodów.

- Świeczka? Tracisz tylko czas.

- Proszę cię jedynie o pięć minut.

- Jeśli się zgodzę, czy potem zostawisz mnie w spokoju?

- Tak, a teraz chodź, chcę ci coś pokazać.

Cassie podeszła do schowka i upewniwszy się, że Tanner stoi za nią, otworzyła drzwi. Przytrzymując je stopą, zapaliła świeczkę.

- O co chodzi, Cassie? Uważaj, bo jeszcze zaprąszysz ogień - ostrzegł ją.

- Spokojnie, tylko ci coś pokażę. Światło w schowku zepsuło się już dawno i jakoś do tej pory nikt nie znalazł czasu, by je naprawić. Chodź za mną i uważaj na głowę.

Weszła do środka, osłaniając płomień dłonią. W powietrzu unosił się zapach naftaliny. W świetle świecy zobaczyli półki zavalone przeróżnymi rupieciami - od starych, filcowych kapeluszy, po różnego rodzaju obuwie. Metalowy pręt uginał się pod ciężarem licznych płaszczy, kurtek i futer.

Cassie odwróciła się w prawo, pochyliła się nieznacznie i zrobiła jeszcze kilka kroków do przodu. Usiadła na drewnianej skrzyni i ruchem ręki nakazała Tannerowi, by zajął miejsce obok niej.

- Chodź, zobacz - powiedziała, unosząc do góry świecę.

- Nic nie widzę. Co to jest?

- Chodź bliżej.

- Mam nadzieję, że to, co chcesz mi pokazać, jest tego warte. - Upewniwszy się, że skrzynia utrzyma jego ciężar, usiadł obok dziewczyny. Jego bliskość rozpałała w niej ogień, który dawał tyle samo gorąca co tysiąc świec.

Tłumaczyła sobie, że to podniecenie nie ma nic wspólnego z faktem, że siedzi w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu z najbardziej pociągającym mężczyzną na świecie. Nie, była po prostu podekscytowana tym, co miała mu za chwilę pokazać.

Wzięła go za rękę i położyła jego dłoń na literach wrytych na ścianie.

- Tego nie znajdziesz w żadnym innym domu, Tanner. To zrobił twój tata, gdy miał szesnaście lat i po raz pierwszy w życiu się zakochał.

- F.F. kocha D.A. Na zawsze. - Głos Tannera nie był głośniejszy od szeptu. Dotknął dłonią miejsca, w którym kilkadziesiąt lat wcześniej ojciec uwiecznił swoją miłość. - Kim była D.A.?

- Dianę Arnold. Moja mama. Nasi rodzice chodzili kiedyś ze sobą. W tym miejscu pocałowali się po raz pierwszy. Czyż to nie cudowne?

Tanner oderwał wzrok od napisu i wpatrywał się w piękną twarz Cassie oświetloną ciepłym światłem świecy. To ona była cudowna. Nigdy nie posługiwała się półśrodkami. Cokolwiek robiła, oddawała się temu w pełni. Nie była z tych, co po prostu zatrudniają pracowników. Znała swoich ludzi i przejmowała się ich sprawami. Cynamonowa bułeczka to dla niej nie zwyczajne śniadanie, lecz wykwinny przysmak dla podniebienia. Była gotowa przybiec do niego w czasie burzy, by upewnić się, że dach wytrzymał ulewę. Przez całą noc nie mógł zasnąć, myśląc jedynie o tym, jak zmysłowo wyglądała w przemoczonym podkoszulku.

Była ciepła i wesoła, a ponadto bardziej zmysłowa niż jakakolwiek inna kobieta, którą znał. Nie powinien siedzieć obok niej w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu, gdzie mógłby się dać uwieść cytrusowemu zapachowi jej perfum, przywodzącemu na myśl piknik dla dwojga w wiosenny poranek. Jej twarz błysz-

czała radośnie, w oczach migotały iskierki rozbawienia, a na ustach gościł promienny uśmiech.

Kogo obchodziła przeszłość? Tannerowi Fairfaksowi zależało jedynie na tym, by tu i teraz pocałować Cassie. Jej przyspieszony oddech dawał mu pewność, że ona także bardzo gorąco tego pragnie.

RS

Rozdział piąty

Tanner ujął twarz Cassie. Jęknęła cicho, gdy jego wargi dotknęły jej ust, przyjmując pocałunek.

Od początku miał świadomość istniejącej między nimi chemii, ale to, co poczuł teraz, przerastało jego najśmielsze oczekiwania. Nienasylenie. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Poznać każdy sekret, każdy zakamarek jej ciała.

Płonął z pożądania.

Odsunął się na chwilę, bo nagle poczuł, że jego kolano płonie jakby trochę mocniej od reszty ciała. Okazało się, że potarcił nogą stojącą obok świeczkę.

- Cholera - wymamrotał, podnosząc ją. Jak mógł do tego dopuścić?

Cassie otworzyła oczy. Wyglądała na zmieszaną.

- Czy coś się stało?

- Nie, nic, to tylko stearyna. Rozszerzyła szeroko oczy z przerażenia.

- Tak mi przykro. Ja... ja nie... Ten pocałunek. Chyba straciłam na chwilę głowę.

Nie tylko ona. Tanner zaklął w duchu.

- Chyba powinniśmy stąd wyjść, zanim zrobimy coś, czego obydwójce będziemy później żałować.

Wyszedł na werandę, by odetchnąć świeżym powietrzem. Musiał się przewietrzyć. Kręciło mu się w głowie. Drżącymi rękoma przytrzymał się poręczy, by nie upaść. Bardziej niż świeżego powietrza potrzebował jednak jakiegoś sposobu, by nie poddać się urokowi Cassie. Była niebezpieczną kobietą. Tracił przy niej kontrolę. Na szczęście jeszcze tylko dwadzieścia siedem dni. To mniej niż cztery tygodnie. Powinien wytrzymać.

Nagle z domu naprzeciwko wybiegła pani Boone, trzymając przy uchu słuchawkę. Co się wydarzyło tym razem?

- Tanner, czy jest Cassie?

- Tak, co się stało?

- Nie przejmuj się, Mardell - mówiła pani Boone do telefonu. - Twój mąż jest twardszy niż skała. Obiecuję ci, że z tego wyjdzie. Siedź spokojnie, zaraz do ciebie jadę. - Schowała słuchawkę do kieszeni fartucha.

Potem drzwi posiadłości Fairfaksów otworzyły się i na zewnątrz wybiegła przerażona Cassie. Twarz, która zaledwie przed chwilą promieniała radośnie, teraz przybrała surowy wyraz. Czyżby pocałunek aż tak bardzo ją zdenerwował? W końcu on także bardzo przeżył to zbliżenie, ale Cassie... Chciał, by sąsiadka czym prędzej wróciła do siebie, by mógł zapewnić Cassie, że nigdy więcej nie zachowa się w ten sposób.

- Tanner, muszę iść - oświadczyła Cassie, po czym zwróciła się do pani Boone: - Słyszała pani o Peterze?

Starsza kobieta skinęła głową.

- Pan Campbell miał wypadek - wyjaśniła Cassie. - Pracował przy budowie sceny na festyn i nagle stracił równowagę. Mam nadzieję, że to nie złamanie, a jedynie zwichnięcie.

Pani Boone położyła rękę na ramieniu Tannera.

- Pan Campbell jest właścicielem zajazdu Campa na obrzeżach miasta. - Mówiła przyciszonym głosem. - Co roku udostępnia teren wokół zajazdu na festyn. Sam ustawia scenę. Zawsze bardzo sprawnie posługiwał się młotkiem. A tu takie nieszczęście. Biedny Peter...

- To miejsce tuż przed zjazdem na autostradę? Tam, gdzie sprzedają lody?

- Znasz je? - Pani Boone uśmiechnęła się ciepło. - Lody też, ale najlepsze są chińskie pierożki. Nigdzie...

Tanner nie słuchał. Znów miał pięć lat. Przypomniawszy sobie swoją pierwszą wizytę w posiadłości Fairfaksów. Pamiętał, jak kurczowo ścisnął rękę ojca, gdy wspinali się po schodach na werandę.

Pamiętał też, jak drżącym głosem recytował alfabet przed mężczyzną, którego przedstawiono mu jako dziadka, i okropną kłótnię. Obydwaj mężczyźni strasznie głośno krzyczeli.

Tanner nigdy nie widział swojego taty równie wściekłego, nawet wtedy gdy niechętny wylał sok pomidorowy na nowy dywan w salonie. Ojciec wziął go na ręce i nie pożegnawszy się nawet, szybkim krokiem opuścił ciemny dom dziadka.

Gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie, pięcioletni Tanner rozplakał się, sądząc, że zrobił coś złego. Tata zjechał na pobocze. Przytulił płaczącego syna i wytłumaczył mu, że jest najlepszym i najukochańszym dzieckiem na świecie. Zapropował, że pojedą na lody. i Tanner przestał płakać.

Po chwili siedział na kolanach ojca przy stoliku osłoniętym parasolem w biało-czerwone pasy. Z olbrzymich waniliowych

kulek spływała niczym lawa czekoladowa polewa. Tata śmiał się, widząc zmagania chłopca, by nie pobrudzić ubrania.

- Nie przejmuj się, młody człowieku, koszulkę upierzemy i nie będzie śladu plam.

Naraz podszedł do nich jakiś mężczyzna.

- Franki, to ty? Minęło tyle lat, przyjacielu. Co u ciebie? Jak się ma Susan?

Mężczyźni podali sobie dłonie i pokleпали się serdecznie po plecach.

- Wszystko w porządku, Peter. Poznaj, proszę, naszego syna, Tannera.

- Wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężki dzień, chłopie. Ale lody na pewno pomogą.

Tanner tylko skinął głową.

- Spotkanie z moim ojcem to zawsze ciężkie przeżycie - odparł za niego tata. - Nic się nie zmieniło. Tanner był świadkiem awantury i myśli, że to jego wina. Biedne dziecko. - Tata przytulił go mocno. - Byłeś wspaniały.

- Ale nie dokończyłem alfabetu, bo ty i dziadek krzyczeliście tak głośno. Słyszałem swoje imię...

- Twój dziadek bardzo cię kocha, Tanner, chodzi tylko o to, że... - zawiesił głos. Odwrócił się do Petera w poszukiwaniu rątku.

Mężczyzna uśmiechał się smutno.

- To trochę tak jak ze złapaniem pierwszej żaby albo motyla, Tanner. Zrobiłeś to kiedyś?

Tanner skinął głową.

- Oczywiście. Trzeba być zwinnym. W zeszłym roku udało mi się złapać naprawdę piękny okaz.

- Czy od razu go wypuściłeś? Chłopiec pokręcił przecząco głową.

- Za pierwszym razem nie. Był taki śliczny, że chciałem go zatrzymać, ale chyba za mocno go ścisnąłem, bo umarł. Nie chciałem go zabić, naprawdę! Przysięgam! Chciałem tylko, żeby został ze mną... Od tej pory zawsze wypuszczam motyle.

- Widzisz, niektórzy ludzie nie potrafią postąpić w ten sposób. Nie pozwalają odejść tym, których kochają, nawet jeśli przez to kogoś tracą. Jesteś mądrym chłopcem, tak jak twój tatuś. Którego dnia może i twój dziadek zmądrzeje. Rozumiesz już?

- Chyba tak - odparł Tanner, choć nie rozumiał, jak można porównywać starego, pomarszczonego dziadka do pięknego, barwnego motyla o delikatnych skrzydełkach.

Cassie dotknęła jego ramienia. Wyglądała na zniecierpliwioną.

- Tanner? Słyszałeś, co do ciebie mówię? Przykro mi, jeżeli tego nie rozumiesz, ale muszę iść. Przyjdę jutro kilka godzin wcześniej albo zostanę któregoś dnia dłużej, by nadrobić stracony czas, ale teraz muszę iść.

- Co mam rozumieć? Gdzie musisz iść?

- Peter Campbell jest jednym z najmiłszych ludzi, jakich znam. Prawdopodobnie znajduje się teraz w szpitalu i w niczym mu tam nie pomogę, ale mogę pojechać do zajazdu popracować nad sceną. Jeżeli tego nie zrobię, Peter będzie się zamartwiał, że nie zdążymy przygotować wszystkiego na festyn. - Cassie zwró-

ciła się do pani Boone: - Proszę mu przekazać, że wszystkim się zajmę, dobrze?

- Oczywiście, kochanie. Właśnie zamierzałam pojechać do Mardell. Biedactwo, tak się denerwuje. Powiem jej, a ona na pewno przekaze tę wiadomość Peterowi. Do widzenia.

Tanner nie pamiętał, jak wyglądał Peter Campbell, ale był pewien, że do końca życia nie zapomni dobroci, jaką Peter okazał małemu, przerażonemu chłopcu.

- Jadę z tobą, Cassie - oznajmił.

Cassie zamarła. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Dlaczego?

Choć wypadek Petera bardzo ją zasmucił, cieszyła się, że ma dobrą wymówkę, by wydostać się z posiadłości Fairfaksów. Musiała czymś zająć swoje myśli, by nie wspominać co chwila cudownego smaku ust Tannera. Nawet teraz walczyła ze sobą, by nie dotknąć dłonią warg, które wciąż drżały na wspomnienie pocałunku. Nadal czuła jego smak. W pieszczotach Tannera nie było nic żenującego, a jego dotyk sprawił, że poczuła się bezpieczna, pożądana i ceniona zarazem.

- Oczywiście, że możesz ze mną jechać. Tylko mnie zaskoczyłeś. Sądziłam, że będę musiała ci tłumaczyć, dlaczego chcę wyjść wcześniej. Nie przyszło mi do głowy, że będziesz miał ochotę mi towarzyszyć. Bądźmy szczerzy, odkąd przyjechałeś do New Haven, nie sprawiałeś wrażenia osoby zainteresowanej miasteczkiem i jego mieszkańcami. Dlaczego chcesz teraz ze mną jechać?

- Powiedzmy, że zawsze spłacam długi.

Cassie chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej, ale widząc zaciśnięte szczęki Tannera, postanowiła poczekać z zadawaniem pytań.

- W takim razie chodźmy. - Poprowadziła go do swojej furgonetki zaparkowanej przy krawężniku. Może uda się jej wciągnąć go w przygotowania do festynu, a tym samym sprawić, by poczuł się częścią wspólnoty mieszkańców New Haven...

Usiadła za kierownicą. Tanner zajął miejsce pasażera i zapiął pas. Kilka minut później wjechali w zwirową uliczkę prowadzącą do zajazdu Campa. Tanner siedział wyprostowany, wpatrując się w szybę z dziwnym wyrazem twarzy.

- Byłeś tu kiedyś?

- Raz, dawno temu.

Nigdy nie знаła kogoś równie skrytego, ale nie chciała zrazić go do siebie zbytnią natarczywością.

Skręciła w lewo przed restauracją, pojechała jeszcze kawałek zwirową drogą, po czym zaparkowała samochód obok starego dębu, o którym miejscowi mówili, że jest bardziej wiekowy niż najstarsze budynki w miasteczku.

Energicznie wysiadła z samochodu i pomachała do starszego mężczyzny ubranego w czapkę z napisem: Tartak Howarda.

- Dzień dobry, panie Howard - przywitała się.

- Cześć, Cassie, kochana dziewczyno! Co ty tutaj robisz? Na trawie siedziało kilku nastoletnich chłopców.

- Usłyszałam o wypadku Petera i przyjechałam, żeby trochę pomóc.

- A ty jesteś zapewne synem Franka Fairfaksa. Takie masz śmieszne imię. zupełnie nie mogę sobie przypomnieć.

Tanner uściśnił wyciągniętą dłoń.

- Nazywam się Tanner, proszę pana - przedstawił się.

- Ach tak, Tanner. Widziałem tablicę „Na sprzedaż”. Taka szkoda... Znałeś Petera?

- Poznaliśmy się kiedyś.

- W czym możemy pomóc, panie Howard? - Cassie wołała skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Mężczyzna uniósł ręce w geście rozpaczy.

- Widzisz. Cassie, sam nie jestem pewien, co należy zrobić. Nie znam się na budownictwie, ja tylko sprzedaję drewno. Wydaje mi się, że Peter zamierzał przyuczyć tych chłopców, a tu taki pech. Czy młody Fairfax może go zastąpić?

Tanner zerknął na chłopców, po czym zwrócił się do Cassie:

- Czy jest jakiś plan?

- Nie, ale mogę ci powiedzieć, czego potrzebujemy. - Nawet śpiąc, potrafiłaby dokończyć budowę sceny, ale wołała, żeby Tanner się tym zajął. - Peter przechowuje materiały w stodole na rytach domu. - Przedstawiła Tannerowi ogólny szkic rozmieszczenia stoisk w czasie festynu, ale nic mu nie sugerowała.

- No dobra, chłopaki, posłuchajcie. - Trzech chłopców podskoczyło na równe nogi i podbiegło do Tannera. - Najpierw musimy się poznać. Jestem Tanner.

Chłopcy także się przedstawili.

- Następnie muszę się dowiedzieć, co Peter miał z wami robić.

- Mieliśmy dostać punkty kredytowe w ramach jesiennych zajęć z modelarstwa, a oprócz tego budowanie sceny na festyn liczyło się jako godziny pracy charytatywnej - wyjaśnił Cory. -

Mieliśmy nauczyć się robienia pomiarów i używania specjalistycznych narzędzi.

Ben uśmiechnął się smutno.

- Teraz nic z tego. Tracimy tylko czas. Najlepiej będzie, jak pójdziemy do domu.

Cassie nie знаła Bena zbyt dobrze, ale za to wszyscy w mieście znali jego ojca, Johna Dentona, dawną gwiazdę koszykówki i utalentowanego adwokata. O ile się nie myliła, żona zostawiła go kilka lat temu dla jakiegoś perkusisty rockowego. Zrobiło jej się żal chłopca. Porzucony przez matkę, nie dorównujący ojcu. Czy Tanner poradzi sobie z tym zbuntowanym nastolatkiem?

Tanner spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie tak szybko, Ben. Sam zaczynałem w branży budowlanej, gdy byłem mniej więcej w twoim wieku. Uczyłem się przez kilka lat, nim zostałem mistrzem stolarskim. Teraz prowadzę własną firmę budowlaną, więc myślę, że poradzę sobie z nauczeniem was podstaw fachu, ale decyzja należy, rzecz jasna, do was.

- Byłoby wspaniale, proszę pana - ucieszył się Cory. Gdy Ben go nie poparł, szturchnął go w bok.

- Wspaniale - powtórzył chłopak za kolegą. Trzeci nastolatek, Allen, skinął tylko głową.

Cassie odetchnęła z ulgą. Tanner prawdopodobnie nie spodziewał się, że jego pomoc nie sprowadzi się wyłącznie do prac budowlanych, a obejmie również prowadzenie zajęć z trójką chłopców, w tym z jednym zbuntowanym nastolatkiem. Całe szczęście, że podjął się tego wyzwania.

~ W takim razie wyjaśnijmy sobie coś - kontynuował Tanner.
- Zastąpię pana Campbella, dopóki ten nie poczuje się lepiej. Ale ponieważ jestem tutaj nowy i nie za bardzo wiem, jak ma wyglądać festyn, zgłaszajcie wszystkie pomysły i propozycje, które przyjdą wam do głowy. Na początku pomówimy o narzędziach. Opowiem pokrótce, do czego służą i jak się ich używa, ale nie będę się zagłębiał w szczegóły, dopóki nie zaczniemy pracować.

Podszedł do ławki, na której leżały rozłożone narzędzia. Trójka jego uczniów podążyła w ślad za nim.

- Cassie, czy byłabyś tak dobra i nakreśliła mi ogólny zarys tej sceny?

- Oczywiście. - Poszła do furgonetki po kartkę i ołówek, cały czas uśmiechając się szeroko. Tego właśnie było mu trzeba, choć nie sądziła, że tak się zaangażuje. Już niedługo poczuje się związany z tymi chłopcami, następnie z całym miasteczkiem, a wtedy nie będzie chciał stąd wyjechać. Nie sprzeda domu i osiedli się w posiadłości Fairfaksów. Tym samym obietnica, którą złożyła panu Frankowi, zostanie spełniona.

Zrobiła szkic, po czym zaniósła kartkę Tannerowi. Właśnie tłumaczył chłopcom, jak zrobić kozioł do piłowania.

Podobał jej się sposób, w jaki z nimi rozmawiał. Traktował ich z szacunkiem, jak równych sobie. Niemniej jednak nie tracił wrodzonej pewności siebie. Ktoś, kto całował w ten sposób... Nie, nie chciała o tym myśleć.

Im dłużej przebywał na dworze, tym bardziej się odpręzał. Chciał lepiej poznać swoich uczniów. Pytał ich o szkołę i ulubiony sport. Cory i Allen byli zachwyceni, jednak Ben pozostawał niewzruszony.

- Dobra, chłopaki, czas na przerwę - oznajmił Tanner kilka godzin później.

- Właściwie, proszę pana, to my już musimy iść - poinformował go najwyższy z chłopców, Cory. - Za godzinę mamy mecz koszykówki. Ustaliliśmy to wcześniej z panem Campbellem. Przysięgam!

- Nie ma sprawy. Świetnie się spisaliście. - Tanner uściśnął każdemu z nich dłoń. - A jak umówiliście się z panem Campbellem na pozostałe dni?

- Codziennie od dziewiątej rano do siedemnastej, dopóki będziemy potrzebni - odpowiedział Cory.

- Świetnie. W takim razie widzimy się jutro rano o dziewiątej.

Cassie pomogła Tannerowi posprzątać, po czym odwiozła go do posiadłości Fairfaksów.

- Wybacz moją ciekawość, ale usłyszałam, że zamierzasz spotkać się jutro z chłopcami.

- Czy coś w tym złego?

- Ależ skąd. Tyle tylko, że oni na ciebie liczą. Jesteś gotów poświęcić im odpowiednią ilość czasu i uwagi?

- Dopóki pan Campbell nie wyzdrowieje.

- Wszyscy będziemy ci bardzo wdzięczni. Będę przyjeżdżała cię odwiedzać, kiedy tylko znajdę chwilkę czasu, a poza tym całe miasto pospieszy ci z pomocą, gdy tylko ludzie dowiedzą się, co robisz dla Petera. - Zatrzymała samochód przed domem. - Chciałam ci powiedzieć, że świetnie sobie radzisz z chłopcami. Udało ci się skupić ich uwagę. Jednocześnie wiedziałeś, kiedy skończyć wykład i pozwolić im pracować.

Tanner wzruszył ramionami.

- Są młodzi i pełni zapału. Dziękuję za podwiezienie.
- Nie ma sprawy. Wejdę tylko na chwilkę do środka, żeby zabrać torebkę. - Weszli na werandę. - Jutro dokończę malowanie drewnianych wykończeń podkładem. Gdy tylko wyschną, pokryję je dwiema warstwami farby.

Tanner zatrzymał się tak nagle, że Cassie w ostatniej chwili musiała odskoczyć na bok, by na niego nie wpaść.

- Co się stało?

- Drzwi są uchylone. Spieszyliśmy się i nie jestem pewien, czy zamknąłem je na klucz. Ktoś mógł się włamać pod naszą nieobecność.

- Twoja podejrzliwość jest całkowicie nieuzasadniona - oświadczyła. - To jedna z głównych ulic w mieście.

- Na wszelki wypadek trzymaj się za mną. - Tanner wszedł do środka i idąc do kuchni, rozglądał się uważnie. Wbiegł do salonu i obejrzał dokładnie każdy kąt.

- Ktoś tu był! - oznajmił. - Moje rzeczy zniknęły! Jaki złodziej kradnie śpiwór, a zostawia antyki? I co to za wspianiały zapach?

Cassie uśmiechnęła się.

- Sądzę, że to pieczony kurczak. Wydaje mi się, że wiem, kim był nasz gość. Poczekaj chwilę.

- Co ty robisz? To niebezpieczne! On może tu jeszcze być. Cassie zaśmiała się.

- Wiem, wiem, ale nie w ten sposób, jak sądzisz. - Weszła do kuchni. Na stole pod talerzem z pieczonymi udkami i skrzydełkami leżał list napisany znajomym charakterem pisma na odwrocie rachunku ze sklepu spożywczego, Przeczytała na głos:

- „Doszły mnie słuchy, że pomagacie Peterowi. Pomyślałam, że pewnie zgłodniejecie. W lodówce jest sałatka. Drzwi były otwarte, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko. Tanner, przeniosłam twoje rzeczy do dawnego pokoju twojego taty - tam jest dużo bardziej przytulnie! Zapraszam do nas na obiad w czwartek. Zapytaj Cassie o szczegóły. Moja dziewczynka świetnie pracuje, prawda? Jaka szkoda, że zamierzasz sprzedać dom. Nie mogę się doczekać spotkania z tobą. Całusy, D”.

- O co chodzi? Kim jest ta osoba? I jakim prawem tak po prostu weszła do mojego domu?

- Moja mama uznała po prostu, że najwyższa pora zaopiekować się tobą. Pamiętaj, że posiadłość Fairfaksów była dla niej niczym drugi dom, a twoi dziadkowie traktowali ją jak przybraną córkę.

- To jednak nie daje jej prawa do ruszania moich rzeczy. Bardzo mi się podobało w salonie.

- Nigdy jej nie przekonasz. Zresztą, zostaniesz tu jeszcze miesiąc...

- Dokładnie dwadzieścia siedem dni - poprawił ją Tanner.

- Wszystko jedno. Wygodniej byłoby ci spać na łóżku, ale jeżeli wolisz kanapę w salonie, przenieś swoje rzeczy z powrotem!

- Nie o to chodzi. Nie miała prawa tego zrobić! Cassie wzruszyła ramionami.

- Powiesz jej to sam podczas czwartkowego obiadu.

- Za żadne skarby. Ty jej możesz powiedzieć. Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam.

Cassie poczuła się zawiedziona. Wyglądało na to, że mur wokół serca Tannera znów został umocniony.

- Nie jesteś ciekaw, jak wygląda szkolna sympatia twojego taty? Na pewno zna tysiące historyjek o twoich rodzicach. Zresztą, jeżeli nie pojawisz się na czwartkowym obiedzie, nie tylko będzie robić mi wymówki, ale tobie też nie da spokoju. Będzie cię dręczyć, dopóki jej nie odwiedzisz.

- Nie odpuści sobie?

- Nie ma mowy. Zawahał się.

- Jeżeli to jedyny sposób, by zostawiła mnie w spokoju...

- Dobra decyzja - przerwała mu Cassie w obawie, że zmieni zdanie. - Obiad jest o siódmej, ale muszę cię ostrzec. Mamy taką rodzinną tradycję: w każdy czwartek wypiekamy chleb i zawozimy go do schroniska dla bezdomnych. Zazwyczaj pomaga nam moja siostra, ale ostatnimi czasy rzadko wychodzi z domu, więc mama na pewno cię w to wciągnie.

Rozdział szósty

Tanner po raz kolejny sprawdził adres. Starannie wypielegnowany ogródek okalał niewielki, pomalowany na żółto dom. Równo przycięty, zielony trawnik ozdobiony był tu i ówdzie kolorowymi klombami. Wiatr delikatnie kołysał zawieszoną w rogu werandy drewnianą huśtawką.

Zabrał leżącą na siedzeniu butelkę wina, zamknął za sobą drzwi samochodu i ruszył w kierunku wejścia. Co będzie, jeżeli okaże się, że mama Cassie nie pija alkoholu? Nie chciał jej urazić, ale nauczono go, że nigdy nie należy przychodzić z wizytą bez prezentu. Wino było odpowiednim upominkiem dla gospodyni, więc dlaczego tak bardzo się denerwował?

Podniósł rękę, by zapukać, ale drzwi otworzyły się same. Na progu stała Cassie. Po raz pierwszy, odkąd ją znał, nie miała na głowie czapki ani kapelusza. Szeroka, jasnożółta opaska przytrzymywała długie, kasztanowe loki. Dziewczyna, ubrana w białą bluzkę z żółtymi guziczkami w kształcie maleńkich kwiatuśków, białe dżinsy i sandały, wyglądała uroczo.

Choć zapewniła go, że będzie to zwykły rodzinny obiad, Tanner poświęcił tego dnia więcej uwagi swojemu wyglądowi. Zamiast podkoszulka włożył koszulę ze stójką.

Nie zastanawiając się zbyt długo nad tym, co robi, wyciągnął rękę i dotknął jedwabistego kosmyka włosów Cassie.

- Czy kiedykolwiek nosisz je rozpuszczone? Zamrugła ze zdziwienia.

- Masz piękne włosy, ale zawsze je związujesz.

- Zaczęłam nosić kapelusze, ponieważ tak robił mój tata. Początkowo mama walczyła z tym nawykiem, ale po jakimś czasie poddała się i po prostu zaczęła kupować mi dziewczęce kapelusiki. Długie włosy przeszkadzają w pracy. Pewnie najlepiej by było, gdybym je obciąła, ale nie mam odwagi.

- Całe szczęście. - Cholera. Dlaczego to powiedział? Cofnął rękę i szybko schował ją do kieszeni. - Chciałem powiedzieć, że powinnaś robić to, co uważasz za słuszne.

- Dziękuję, tak też staram się zawsze postępować. Cieszę się, że przyszedłeś.

- Powiedziałaś, że nie mam wyboru - zażartował.

- Nie oszukiwałam. - Cassie nachyliła się w jego stronę. - Muszę cię jednak ostrzec - wyszeptła. - Mama jest w dziwnym nastroju. Czasem, gdy zbyt wiele rozmyśla na temat przeszłości, bywa bardzo melancholijna.

- Cassie, gdzie twoje maniery? - dobiegł go ciepły, kobiecy głos. - Zaproś naszego gościa do środka.

- Już idziemy, mamó.

Tanner mógłby przysiąc, że wszedł do włoskiej restauracji. Powietrze przepelniał niepowtarzalny aromat czosnku, cebuli, pomidorów i świeżego pieczywa. Zaburczało mu w brzuchu.

- Pachnie cudownie.

- Obiad wkrótce będzie gotowy, ale mama pomyślała, że chciałbyś najpierw trochę porozmawiać. Czeka na ciebie w salonie. - Cassie szybkim krokiem przemierzyła niewielki korytarzyk i skręciła w lewo, a Tanner podążył jej śladem.

- Beżowa kanapa stała obok dębowej szafy, której półki zastawiono fotografiami. Szklany stolik zawałony był albumami.

Wokół leżało mnóstwo pudeł i pudełek, ale gdzie była mama Cassie?

- Szukałam już wszędzie i wciąż nie mogę go znaleźć. - Drobna blondynka wysunęła się zza kanapy.

Uśmiech na jej twarzy zastygł, gdy zobaczyła Tannera. Zakryła ręką usta. Wielkie, niebieskie oczy zaszyły łzami. Nie starała się ich ukryć.

- Syn Franka - wyszeptęła, po czym przytuliła go po matczynemu. Pachniała świeżo ściętymi różami. - Witaj w domu.

W domu? To nie był jego dom, choć nie przeczył, że na dźwięk tych słów zrobiło mu się przyjemnie. Chociaż mama Cassie w niczym nie przypominała Susan Fairfax, poczuł się bezpiecznie.

Trochę to trwało, nim wypuściła go z ramion. Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków.

- Cassie próbowała mnie ostrzec, ale nie sądziłam, że podobieństwo jest aż tak duże. Przepraszam... - zawiesiła głos.

Uważał, że jest piękna. Nic dziwnego, że ojciec kochał się w niej.

- Przepraszam, gdzie moje maniery? Jestem Diane Leigh-ton. Dziękuję, że zechciałeś nas odwiedzić.

- Mam na imię Tanner, a sądząc po zapachach, to ja powinienem ci dziękować. Kurczak i sałatka z ziemniaków też były przepyszne. Przyniosłem wino - powiedział, podając jej butelkę.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo dziękuję. Wstawię je do lodówki. Mam nadzieję, że lubisz lasagne. - Zwróciła się do córki: - Cassie, kochanie, pokaż mu jeden z albumów ze zdjęciami. Ja zaraz wrócę.

Cassie zaprosiła go, by usiadł na kanapie i podała mu oprawiony w czerwoną skórę album.

- Czy z twoją mamą wszystko w porządku?

- Oczywiście, jest tylko trochę uczuciowa. To u nas rodzinne. Tata miał krzyż pański z trzema kobietami w domu. Nigdy nie mógł być pewien, czy któraś z nas nie wybuchnie płaczem.

Tanner nie znał drugiej osoby, która równie otwarcie mówiłaby o uczuciach. Może z wyjątkiem Dianę Leighton. Jego własny ojciec był typowym mężczyzną, który rzadko kiedy okazywał, co czuje, a mama miała za sobą bardzo trudne dzieciństwo i stąd zapewne brał się jej niesamowity spokój nie pozwalający dojść do głosu emocjom. Zawsze mówiła, że dopóki nie poznała taty, nigdy tak naprawdę nie żyła.

Cassie otworzyła album na pierwszej stronie.

- Mama pomyślała, że chętnie obejrzysz zdjęcia twojego taty z dzieciństwa.

- O, jak dobrze, zaczęliście od mojego ulubionego albumu. - Dianę wróciła do pokoju. Choć jej oczy wciąż lśniły od łez, zdążyła poprawić makijaż i uspokoiła się.

Usiadła obok Tannera i opowiadała o każdym zdjęciu i wycinku z gazety.

- Byłam zdruzgotana, gdy dowiedziałam się o twoim tacie i Susan. - Dianę położyła rękę na jego ramieniu. - Twój dziadek Frank był wówczas zbyt schorowany, by po ciebie posłać. Musiało ci być bardzo ciężko.

Zesztywniał na dźwięk imienia dziadka. Po śmierci rodziców jeden z pracowników opieki społecznej poinformował go, że skontaktowano się z dziadkiem, jednak on nie mógł wziąć sieroty

do siebie. Tanner nie przejął się tym zbyt. Nie zamieszkałby z dziadkiem, nawet gdyby starzec błagał go o to na klęczkach. Później, gdy zaczęły przychodzić listy, wyrzucał je bez czytania do kosza na śmieci.

- Jakoś sobie poradziłem. Dianę skinęła głową.

- Człowiek nawet nie wie, ile ma siły. Ale nie jest łatwo. Gdy umarł tata Cassie... Nie, wolę mówić o weselszych sprawach. Spójrz na to zdjęcie twojego taty w stroju szkolnej reprezentacji. Był bardzo przystojny, A tutaj...

Cassie siedziała na podłodze, przysłuchując się rozmowie. Opierała głowę na kolanach matki. Ten widok przypominał Tannerowi, jak bardzo był związany z własnymi rodzicami. Piętnaście lat, które minęły od ich śmierci, przyćmiło jednak pamięć i coraz rzadziej o nich myślał. Może i lepiej.

- Nie zauważyłem żadnych zdjęć mojej mamy - powiedział przy kolejnym albumie. - Nie chodziła z wami do szkoły?

- Tak, ale pochodziła z biednej rodziny. Susan zazwyczaj nie zjawiała się w szkole w dni, kiedy robiono zdjęcia. Chyba wstydziała się, że nie ma ładnych ubrań. Tak teraz myślę. Ale wtedy byłam egocentryczną nastolatką i nie zastanawiałam się nad tym. Nigdy nie byłam niemila dla twojej mamy, ale też nie starałam się jej w żaden sposób pomóc. Musiała być cudowną kobietą, jeżeli twój tata tak ją kochał.

- Była wspaniała - zgodził się Tanner.

Mama Cassie też była cudowną kobietą, skoro jej inicjały zostały na zawsze wyryte w schowku pod schodami w posiadłości Fairfaksów. Tanner zerknął na Cassie. Czy i ona myślała w tej chwili o ich pocałunku, który sprawił, że świat zadrżał w posa-

dach? Sądząc po jej zaczerwienionych od emocji policzkach, chyba tak.

- Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie, Tanner? - spytała Diane. - Gdzie dorastałeś?

Tanner opowiedział jej o pierwszych siedemnastu latach swojego życia, decydując się podzielić jedynie weselszymi historiami. Przemilczał obsesję dziadka, który dokładał wszelkich starań, by wnuk z nim zamieszkał. Nie wspomniał o tym, jak nieustanny ciąg gróźb i prób przekupstwa doprowadzał mamę do płaczu i wywoływał poczucie winy u ojca.

Naraz z kuchni dobiegło ich okropne dzwonienie. Diane podskoczyła.

- Czas na obiad! Umyjcie ręce w łazience przy wejściu, a potem podążajcie za smakowitą wonią.

Tanner patrzył, jak kobieta wybiega z pokoju. Nie chciał się z nią rozstawać ani na chwilę. Jej ciepło dało mu ukojenie, którego od tak dawna potrzebował. Od śmierci mamy minęło piętnaście lat, a on miewał czasem trudności z przypomnieniem sobie jej twarzy.

- Tanner, czy wszystko w porządku?
- Tak bardzo chciałbym mieć jej zdjęcie.
- Zdjęcie twojej mamy?

Nie sądził, że wypowiedział na głos te słowa.

- Po śmierci rodziców większość ich rzeczy znikła. Sądziłem, że w New Haven uda mi się zdobyć jej fotografię. - Obawiał się, że lada moment się rozklei. - Ale cudowny zapach. Którędy do łazienki?

Pół godziny później Tanner wytarł usta w serwetkę i odłożył ją obok pustego talerza.

- To był najlepszy posiłek, jaki zjadłem od bardzo, bardzo dawna. Dziękuję.

- Deser zrobimy sami: pieczywo bananowe. Czy Cassie wspominała o tym?

Tanner odwrócił się do Cassie, oczekując z jej strony pomocy.

- Mamo, nie sądzę, żeby Tanner miał czas...

- Bzdura. Nikt ani nic nie czeka na niego w tym wielkim, pustym domu. Posprzątam ze stołu i zaraz zaczynamy. Najpierw upieczemy chleb bananowy, a gdy będzie stygł, zajmiemy się pozostałymi wypiekami.

Cassie spojrzała przepaszajaco. Próbowalam, zdawały się mówić jej oczy.

- Tanner, chcę, żebyś czuł się zaproszony w każdy czwartek. Zawsze jemy wtedy wspólnie kolację, a później wypiekamy chleb.

- Dziękuję, Dianę. Cassie prychnęła.

- To mama powinna ci dziękować. Zapewniam cię, wykorzysta twoją obecność. Ona celuje w wyzyskiwaniu taniej siły roboczej.

- Cassie, nie przesadzaj, jeszcze go wystraszysz. Naprawdę, Tanner, gwarantuję, że ci się spodoba. Zobaczysz.

Godzinę później Tanner stał przy kuchennym blacie zajęty wyrabianiem ciasta. Choć ubrudził się mąką, na jego twarzy gościł uśmiech, co było o tyle zaskakujące, że nigdy wcześniej nie

przepadał za zajęciami kulinarnymi. Prawdopodobnie bardziej chodziło mu o towarzystwo niż o sam proces wyrabiania ciasta.

Podczas odmierzania wanilii do pieczywa bananowego poczuł się dziwnie. Znajomy zapach sprawił, że zaczął się zastanawiać, kim była babcia, której nigdy nie poznał. Musiała być wspaniałą kobietą, skoro przez tyle lat po jej śmierci owdowiały mąż codziennie gotował jej ulubioną przyprawę na wolnym ogniu.

Odruchowo poszukał spojrzenia Cassie i zobaczył, że dziewczyna uśmiecha się do niego. Nie ulegało wątpliwości, że myślą o tym samym.

Znali się od niedawna, ale czasem miał poczucie, że są starymi kochankami, których łączy wspólna przeszłość, cała masa tajemnic i dowcipów zrozumiałych tylko dla nich dwojga. Może następne dwadzieścia trzy dni będą dużo przyjemniejsze, niż się spodziewał.

- Bardzo dobrze, Tanner. Wyrabiaj ciasto wnętrzem dłoni, po czym szybko je zawiń. I dodaj więcej mąki. Jeżeli wciąż się klei.

Tanner przykładał się do pracy, starając się działać zgodnie z instrukcjami Dianę.

- Skąd wiadomo, kiedy przestać? - spytał, choć nie interesowała go zbyt odpowiedź. Wyrabianie ciasta mogło być podobną terapią jak praca z drewnem. Nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie uderzał w nie pięścią.

- Mniej więcej po pięciu minutach. Ciasto stanie się gładkie, a kiedy naciśniesz je palcem, samo się podniesie.

- Dodaj więcej mąki - powiedziała Cassie takim samym tonem jak matka. Stała obok, mieszając w misce jajka i wodę, by posmarować nimi bochenki przed włożeniem do pieca. Od tego

skórka stawała się lśniąca i chrupiąca. - Mniej więcej po pięciu minutach - kontynuowała. - Tego właśnie nienawidzę w gotowaniu. Żadnych konkretów. Wilgotność powietrza czy wiek drożdży mogą całkowicie zmienić efekt. Przy kładzeniu tapet obcuje z konkretami.

Diane nachyliła się w jego stronę.

- Wiesz, że zwierzęta wyczuwają, czy człowiek się boi? - spytała szeptem, by Cassie nie usłyszała.

Tanner skinął głową, choć nie rozumiał, o co chodzi.

- Tak samo jest z drożdżami. Wyczuwają, gdy ktoś się boi i odmawiają współpracy.

- To ciekawa teoria - odparł, unikając jej spojrzenia w obawie, że wybuchnie śmiechem.

- Nie można być we wszystkim świetnym - zauważyła Cassie. - Z pokorą to przyjmuję. Mam za to inne talenty.

Tanner nie potrafił oderwać od niej wzroku. Znał już jeden z jej rozlicznych talentów. Wspaniale całowała.

- Wiesz, mamo, są teraz takie maszyny, które same wyrabiają ciasto i pieką chleb - rzuciła znad miski.

- Wiem, kochanie, ale bochenki mają wtedy dziwny kształt, nie mówiąc już o smaku. To nie to samo.

- Gdy ludzie są głodni, nie obchodzi ich, jaki kształt ma bochenek chleba.

Dianę zaśmiała się.

- Nie uwierzysz, Tanner, ile razy odbyłyśmy już tę konwersację, odkąd Cassie była dostatecznie duża, by powiedzieć, co sądzi o gotowaniu.

Z łatwością mógł sobie wyobrazić maleńką Cassie z kasztanowymi włosami związanymi w dwa kucyki, z determinacją usiłującą zmienić rodzinną tradycję.

- Popelniasz olbrzymi błąd, Tanner - zagadnęła Cassie. - Tak ci świetnie idzie, że zanim się obejrzysz, moja mama wrobi cię w stałą współpracę.

Cassie otworzyła wszystkie okna w kuchni, by nie udusić się od oparów farby. Pracowała szybko i zdążyła pokryć drewniane wykończenia drugą warstwą, jeszcze zanim się ściemniło. Była zmęczona. Wróciła wczoraj od mamy później, niż planowała. Ale dobrze się bawiła i uważała, że świetnie spędziła czas.

Choć Tanner zapewniał, że utrata wszystkich zdjęć rodziców to nic wielkiego, nie uwierzyła mu. Jak większość mężczyzn wkładał wiele wysiłku w ukrycie swoich uczuć.

Przejrzała wszystkie albumy i w końcu udało jej się znaleźć fotografię Susan. Wzięła też jedno zdjęcie ojca Tannera. Zamierzała kupić podwójną ramkę, włożyć do niej zdjęcia i dać je w prezencie Tannerowi.

Usłyszała warkot silnika. Wyrzała przez okno w samą porę, by zobaczyć, jak Tanner wyskakuje ze starej furgonetki pana Howarda. Co się stało z jego samochodem?

- Cześć, Cassie.

Wyglądał niesamowicie. Było coś niezwykle seksownego w mężczyźnie, który pracował fizycznie, nie bojąc się spocić czy pobrudzić. Marzyła o tym, by wziął ją w ramiona i zaniósł pod chłodny prysznic, który tylko rozżarzyłby dodatkowo jej rozpalone zmysły.

- Co stało się z twoim samochodem?

- Nie chciał zapalić. Nim zdążyłem się zorientować, przyjechał jakiś chłopak imieniem Sam i wziął go na lawetę. Podobno ma warsztat. Powiedział, że wszystko naprawi i wyśle mi rachunek. Próbowałem podać mu numer mojej karty kredytowej, ale w ogóle nie chciał o tym słyszeć. Oświadczył, że żaden Fairfax nie będzie płacić zaliczki, dopóki on jest szefem serwisu. Gdy pan Howard dowiedział się o wszystkim, zapowiedział, że będzie mnie codziennie zawoził i przywoził.

Tanner przeczesał dłonią swoje gęste, ciemne włosy.

- To miasto jest szalone. Nikt mnie tu nie zna, a wszyscy traktują mnie jak najlepszego przyjaciela z dzieciństwa!

- Wszyscy znali twoją rodzinę, wiedzą, że pomagasz Peterowi i chłopcom. Niczego więcej im nie potrzeba, by uznać cię za swojego.

- Nie pomagam w przygotowaniach do festynu dlatego, że jestem dobrym człowiekiem. Mam dług wobec Petera. To duża różnica.

Wzruszyła ramionami.

- Czy ci się to podoba, czy nie, mieszkańcy New Haven zaakceptowali cię.

- Wiesz co, zanim zepsuł się mój samochód, zamierzałem zaprosić cię dzisiaj na kolację. O ile, oczywiście, nie masz innych planów...

- Naprawdę? - Cassie nie wierzyła własnym uszom. Najwyraźniej wczorajszy wieczór znaczył dla Tannera więcej, niż sądziła.

Skinął głową.

- Chciałbym w ten sposób podziękować ci za wspaniałe spędzony czas z twoją mamą i uczcić zakończenie prac w kuchni. Powinienem odzyskać moją furgonetkę w czwartek, wtedy możemy coś zaplanować. Albo wynajmę jutro samochód. Co wolisz?

Nie zamierzała przepuścić okazji.

- Nie traciłabym pieniędzy na wynajmowanie auta w tak małym miasteczku. Jeżeli naprawdę chcesz zjeść ze mną dzisiaj kolację, znam świetne miejsce, gdzie można spokojnie dojść na piechotę.

- Myślałem o czymś bardziej eleganckim, ale wybór należy do ciebie. O której po ciebie przyjść?

- Spotkajmy się przed domem za godzinę – zaproponowała Cassie.

- To najlepsze chińskie pierożki, jakie kiedykolwiek jadłem - oświadczył Tanner, oblizując z palców słodko-kwaśny sos. - Oczywiście, aż do dzisiaj nawet nie wiedziałem, jak one wyglądają.

- Żałuj, że nie widziałeś swojej miny, gdy zorientowałeś się, że idziemy na kolację do zajazdu Campa...

Z początku Tannerowi nie odpowiadał pomysł spędzenia wieczoru w miejscu przywołującym na myśl wspomnienia, o których usilnie starał się zapomnieć. Wystarczało, że codziennie podczas pracy nad sceną musiał walczyć z upiorami przeszłości, które bezlitośnie powracały co chwila. Ale czy potrafi usiąść przy stole pod parasolem w biało-czerwone pasy jak wtedy, gdy miał pięć lat? Jak skłonić Cassie, by zechciała wybrać inne miejsce?

- Co to za sos? Jest wyśmienity. - Tanner zjadł ostatniego pie-
rożka, po czym wytarł dłonie w nawilżoną chusteczkę.

- To tajny przepis Petera. Sądzę, że nie wyjawiał go nawet żo-
nie. Mardell jest bardzo kochana, ale lubi gadać.

- Cześć, Cassie, wreszcie zdecydowałam się na kolor farby.
Zadzwoń do ciebie w poniedziałek.

Uśmiechnąwszy się, Cassie pomachała jakiejś kobiecie.

- Bardzo się cieszę, pani Goodman.

Tanner nie mógł się oprzeć wrażeniu, że całe miasto stanowiło
jedną wielką rodzinę:

- Masz ochotę na deser? - spytała go Cassie. - Polecam wspa-
niałe puchary lodowe.

- A mają wciąż takie wafelki maczane w czekoladzie?

- Tak, ale skąd o tym wiesz...? Ach tak, mówiłeś, że byłeś tu
już kiedyś. - Wstała. - Nasza kelnerka wygląda na zapracowaną,
sama zamówię. I ja stawiam. Ty zapłaciłeś za kolację.

Tanner przeciągnął się, podziwiając zgrabną, opiętą czarnym
dżinsem pupę Cassie. Krótkie spodenki były wywinięte, a biała
bluzka zawiązana w pasie. I oczywiście coś na głowie: biała
czapka z czarnym napisem.

Strój był wygodny i wskazywał na pewność siebie osoby, któ-
ra go nosiła. Niektóre kobiety tak bardzo starały się być seksow-
ne. Większość z nich za bardzo podwinęłaby spodnie albo za
wysoko zawiązałaby bluzkę, żeby pokazać jak najwięcej nagiego
ciała. U Cassie wszystko było doskonale wyważone.

Gdyby jednak ubierała się tylko dla niego, opowiedziałby się
mimo wszystko za zmianą stylu. Najpierw odrzuciłby czapkę.
Chciał zobaczyć jej włosy, jak niczym nie skrępowane zaczynają

żyć własnym życiem. Następnie, nie zastanawiając się dwa razy, pociągnęłyby za węzeł bluzki...

- Przyniosłam ci dużą porcję - powiedziała Cassie, przerywając jego marzenie na jawie. - Mam nadzieję, że dasz radę.

- Spróbuję. - Wskazał na jej deser. - Co to jest? Wygląda, jakby wrzucono do środka wszystkie jadalne produkty, które akurat znalazły się pod ręką.

- Sama stworzyłam to dzieło sztuki, gdy pracowałam tutaj jako nastolatka. Nazywa się Bananowa Burza. Wszystkiego po trochu.

- Pracowałeś tutaj? - Polizał wafelek, starając się nie dopuścić, by lody się rozpuściły. Czekoladowa polewa mieszała się z wanilią, tworząc niepowtarzalny smak. Dokładnie tak jak pamiętał. Tylko teraz nie bał się plam.

- Oczywiście. Większość dzieciaków z New Haven pracuje tutaj, chociażby przez krótki czas. Peter i Mardell nie mają własnych dzieci, więc przygarniają każdego.

Nagle Tanner zapragnął porozmawiać o tamtym dniu sprzed ponad dwudziestu lat.

- Poznałem Petera, gdy miałem pięć lat, w dniu, w którym tata zabrał mnie do New Haven, do dziadka. Tata i dziadek strasznie się pokłócili. Wiedziałem, że poszło o mnie. Płakałem. Tata zatrzymał się tutaj i kupił mi loda. Chciał mnie jakoś uspokoić.

Cassie przestała jeść.

- Domyśliłem się, że tata i Peter byli szkolnymi kumplami. Peter opowiedział mi historyjkę, z której zapewne wynikał jakiś morał, ale byłem zbyt mały, by go zrozumieć.

Skinęła głową.

- To dla niego typowe. Peter z tego słynie. Jeżeli poświęci się czas, by zrozumieć, co właściwie miał na myśli, zazwyczaj okazuje się, że miał rację. - Zanurzyła łyżeczkę w lodowym pucharze. - Czy dlatego chciałeś mu pomóc?

- Tak. Choć wówczas nie rozumiałem tego, co do mnie mówi, nie ulegało wątpliwości, że bardzo mu na nas zależy. Mógł mnie przecież zignorować, ale nie zrobił tego, okazał mi serdeczność i szacunek. Wiem, że to miało duże znaczenie także dla taty. Peter znał mojego dziadka, wiedział, co między nimi zaszło.

- To jedna z dobrych stron mieszkania w małym mieście. Wszyscy wszystko wiedzą. Oczywiście, ma to także minusy, bo niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

Rozmowa stawała się zbyt poważna.

- W takim razie, co było najgorszą rzeczą, jaką zrobiłaś, o której plotkowano w całym miasteczku?

Cassie śmiejąc się, pokręciła przecząco głową.

- Zawsze mogę zapytać twojej mamy!

- Nie ma mowy, już wolę sama opowiedzieć. Sądzę, że to było wtedy, gdy przyłapano mnie na ściganiu się samochodem na szosie krajowej numer 189.

Tanner omal nie upuścił lodu.

- Ciebie?

- Skąd to zdziwienie? Czy tylko dlatego, że jestem dziewczyną, nie mogę się ścigać?

- Noo - powiedział przeciągle.

- Przyjaźniłam się w szkole z Toddem i Jerrym. Kiedy dowiedziałam się, że planują wyścig z dziećmi z innej szkoły, wpadłam w szal. Pożyczyłam od pana Franka czerwonego thun-

derbirda, nie mówiąc mu, do czego jest mi potrzebny, i pojawiłam się na linii startu. Myślałam, że jestem nie do pokonania.

- Nie bałaś się, że uszkodzisz auto?

- W wieku szesnastu lat? Nie przesadzaj. Całe szczęście, że nic się nie stało. Policja nie dopuściła do wyścigu. W miasteczku przez cały miesiąc nie rozmawiano o niczym innym.

- Ta historia miała jakiś epilog?

- Pan Frank potwierdził, że pożyczył mi thundeitoirda, choć nie w tym celu, do jakiego zamierzałam go wykorzystać. To było moje pierwsze wykroczenie, więc udzielono mi tylko upomnienia. Przez dwa miesiące miałam szlaban i całkowity zakaz jeżdżenia samochodem. Ale najgorsze było to, że pan Fran zawiódł się na mnie. Minęło sporo czasu, zanim ponownie mi zaufał, i to bolało najbardziej. Ale w końcu mi wybaczył i pozwalał raz na jakiś czas przejechać się swoim czerwonym cackiem. Tak...

Więc jego dziadek potrafił czasem wybaczyć. Jaka szkoda, że nie własnemu synowi.

Rozdział siódmy

Tanner wstał.

- Ale się najadłem! Spacer przez miasto na pewno dobrze mi zrobi. Czy jesteś gotowa?

- Nie ma tak dobrze. - Podeszła do niego, zagradzając mu drogę. Oparła ręce na biodrach. - Ja opowiedziałam ci o moim najbardziej upokarzającym przeżyciu, teraz twoja kolej. Opowiadaj, bo inaczej spędzimy tu całą noc!

Podniósł ręce do góry.

- No dobrze, to chyba sprawiedliwy układ, ale możesz słuchać, idąc - powiedział. - W trzeciej klasie liceum zerwałem się ze szkoły, żeby pojechać do Dallas na pokaz samochodowy. Ja i mój kumpel Steve sądziliśmy, że pomyśleliśmy o wszystkim i nie ma najmniejszej szansy, by ktoś nas złapał. I pewnie by nam się udało, gdyby nie fakt, że ojciec Steve'a także zerwał się z pracy, by pojechać na pokaz, i przyłapał nas na gorącym uczynku. Wpadliśmy w niezłe tarapaty. Tata Steve'a także, bo pozwolił nam zostać do końca pokazu. Sam również chciał zobaczyć nowe modele.

- Żartujesz?

Szli różnym krokiem. Tanner coraz bardziej się rozluźniał. Kilkakrotnie miał ochotę wziąć ją za rękę, ale w ostatniej chwili powstrzymywał się. To nie była randka.

- Nie żartuję. Z Tyler do Dallas jest spory kawałek drogi. Bez sensu byłoby jechać tak daleko na próżno. Ustaliliśmy wspólną wersję, że ojciec Steve'a nakrył nas dopiero pod koniec pokazu. A ja przez kilka tygodni miałem szlaban i oglądałem jedynie cztery ściany mojego pokoju. Jednak uważam, że było warto. Tamtego dnia zobaczyłem kilka naprawdę niesamowitych aut.

Nigdy wcześniej nie był tak świadomy bliskości kobiety i zarazem tak rozluźniony.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie? Uniosła pytająco brew.
- To zależy.
- W twoim życiu chyba nie ma mężczyzny i absolutnie nie mogę zrozumieć, dlaczego?
 - Potraktuję to jako komplement, dziękuję.
 - Nie musisz odpowiadać, jeżeli nie chcesz.
 - To żaden problem. Byłam z kimś związana przez ponad rok, ale rozstaliśmy się kilka miesięcy temu. Nie mam problemów z poznawaniem mężczyzn i jeżeli już zdecyduję się z kimś związać, zazwyczaj zakładam, że będzie to stały związek. Wiem dokładnie, czego szukam, więc nie marnuję czasu na facetów, którym chodzi o co innego.

Od samego początku przeczuwał, że do siebie nie pasują, a jej słowa tylko to potwierdziły. Chciała, by został i zamieszkał w posiadłości Fairfaksów, a on zamierzał sprzedać dom i jak najszybciej wyjechać z miasta.

- A ty, Tanner? Czy w Tyler ktoś na ciebie czeka? Pokręcił przecząco głową.

- Nigdy nie zostaję na tyle długo w jednym miejscu, by móc się z kimś związać. Ale właśnie w ten sposób lubię żyć.

Zaśmiała się, lecz w jej śmiechu słychać było pewne napięcie.

- Ta rozmowa staje się stanowczo zbyt poważna. - Wskazała na duży staw po prawej stronie drogi. Gromada kaczek pływała leniwie, nurkując raz po raz po kawałki chleba rzucające do wody przez kilkoro dzieci. - To staw Millera. Czy wiesz, że Kate Bishop, moja siostra i ja jesteśmy mistrzyniami zawodów w ludzkich saniach w roku 1988?

- Co to są ludzkie sanie?

- Przez chwilę zapomniałam, że pochodzisz z Teksasu. W zimie jezioro zamara i wtedy jeździmy na łyżwach, gramy w różne gry i generalnie dobrze się bawimy. Ludzkie sanie polegają na tym, że jedna osoba kuca i opiera dłonie na czubkach butów osoby stojącej za jej plecami, a tamta pochyla się i kładzie ręce na kolanach pierwszej. Wtedy ktoś trzeci popycha je. To świetna zabawa!

Choć słońce zdążyło już skryć się za horyzontem, wieczór był ciepły i Tanner miał spore trudności z wyobrazeniem sobie stawu pokrytego gładką taflą lodu.

- Kiedy jest naprawdę zimno, rozpalamy ognisko i rozsiadamy się wokół.

To mógł sobie wyobrazić. Gdy po raz pierwszy ujrzał Cas-sie, natychmiast pomyślał o przejażdżkach bryczką, spacerach w deszczu i siedzeniu przy ognisku, choć nigdy żadnej z tych rzeczy nie robił.

Nigdy nie mieszkał w miejscu, gdzie zmieniają się pory roku. Jakie to uczucie?

Cassie wyszła z domu Petera około pierwszej w sobotę, zapewniwszy go uprzednio niezliczoną ilość razy, że przyjdzie następnego dnia. by zdać raport z przebiegu prac budowlanych. Peter poruszał się o kulach i był marudny niczym niemowlę z kolką.

Cassie nie zamierzała jednak dopuścić, by cokolwiek zepsuło jej dobry nastrój. Świeciło słońce, a prognozy zapewniały, że padać będzie dopiero jutro, więc uda się też popracować przy budowie sceny. Cały czas czuła przyjemne drżenie w okolicach serca po uroczym wieczorze spędzonym wspólnie z Tannerem.

Rano sprawdziła wiadomości na telefonie komórkowym. Odśluchiwała nagranie mamy, zachwyconej prezentem od Tan-nera - foremkami do pieczenia ciastek. Uśmiechnęła się. Posiadłość Fairfaksów zmieniała swoje oblicze i podobnie działo się z jej właścicielem. Sytuacja zaczynała wyglądać coraz lepiej.

- Panno Cassie, panno Cassie, zdobyłam wczoraj jeszcze jedną bramkę! - wołała nadbiegająca Emily.

Cassie wzięła dziewczynkę na ręce i pocałowała w rumiany policzek.

- To wspaniale, kochanie. A gdzie twoja mama?
- Rozmawia z tym wysokim panem.

Cassie spojrzała w kierunku wskazanym przez pulchny paluszek dziewczynki i zobaczyła Tannera ubranego jak zwykle w koszulkę, wytarte džinsy i adidasy. A mimo to wyglądał jakoś inaczej. Jego opalenizna pogłębiła się od bezlitosnego, li-

pcowego słońca i stanowiła wspaniałe tło dla szczerego uśmiechu, który coraz częściej gościł na jego twarzy.

Teren budowy roił się od mieszkańców New Haven, którzy przyjechali pomóc. Gdy Cassie pojawiła się o dziewiątej, trzech chłopcy - Georgie, Danny i Mike - oraz grupa innych już dawno pracowali. No i oczywiście Tanner, który wszystkim dowodził

Teraz najwyraźniej zrobili krótką przerwę. Georgie, Mike i Danny stali wokół Tannera, żartując. Humor wszystkim dopisywał. Cassie uśmiechnęła się, widząc, jak Tanner dobrze dogaduje się z jej pracownikami,

Emily wyrwała się z objęć Cassie i pobiegła do mamy. Cassie również podeszła.

- Powinieneś to zobaczyć, Tanner - opowiadała Georgia. - Wyglądała prześmiesznie. Ale trzeba jej przyznać, że od tej pory nigdy nie poskapiła na solidną drabinę.

- Wstydźcie się, żeby tak perfidnie mnie obgadywać za moimi plecami? - zażartowała Cassie. - Powinniście poszukać jakiegoś lepszego tematu. Ta historia jest stara i nieciekawa.

Tanner uśmiechnął się.

- A mnie wydała się całkiem interesująca.

Odetchnęła z ulgą, widząc, że wciąż jest tym samym, sympatycznym Tannerem co wczoraj i przedwczoraj. Bała się, że będzie żałował swojej otwartości. Wcześniej miewał bardzo zmienne nastroje.

- No ładnie. - Bardzo się starała, żeby jej głos zabrzmiał normalnie. Nie chciała, by przyjaciele odgadli jej uczucia. -Tylko pamiętajcie, że ja też znam dziesiątki historii na wasz temat. - Zwróciła się w stronę Tannera. - Zasada numer trzy w małym

miasteczku: cokolwiek zostanie powiedziane, wraca do ciebie ze zdwojoną siłą.

Cassie poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

- Panno Cassie, obiecała mi pani lody.
- Emily! Tak nie można! Jesteś bardzo niegrzeczna!
- No co ty, Georgio. Mała ma rację, obiecałam jej lody. Jeden gol, jeden lód.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Georgia. - Nie chcę, żeby zjadła największą porcję. - Zwróciła się do Tannera i wyciągnęła dłoń. - Miło mi było cię poznać. To wspaniale, że pomagasz chłopcom i Peterowi. Ale pamiętaj, nie tylko kobiety zmieniają zdanie. Bylibyśmy zachwyceni, gdybyś zdecydował się zostać w New Haven i zatrzymać rodzinną posiadłość. Gdy odeszły, Georgia oświadczyła:

- Ojej, uśmiech tego faceta stopiłby lód na stawie Millera w samym środku zimy.

To akurat prawda, Cassie w myślach zgodziła się z przyjaciółką. A jego pocałunki zamieniłyby ten staw w saunę. Nie, musi o tym zapomnieć. Nie może myśleć o nim w ten sposób, dopóki nie będzie wiedziała, czy zamierza zostać w New Haven.

- Teraz rozumiem, dlaczego od jakiegoś czasu unikasz Grega. Biedny chłopak wypytuje o ciebie za każdym razem, gdy spotykamy się przy skrzynkach na listy. Powtarzam mu, że zapewne jesteś bardzo zajęta, ale teraz widzę, że twoje ostatnie zadanie jest niezwykle atrakcyjne...

- Ciężko pracuję. Zresztą nie ma sensu, bym po raz kolejny umawiała się z twoim sąsiadem. Na jesieni przeprowadza się z powrotem do Columbus i nie zamierza wracać do New Haven.

- O czym rozmawiacie, mamusiu? - Chciała wiedzieć Emily.
- Nieważne, Emily. Panna Cassie i ja rozmawiamy o sprawach dorosłych.
- Tanner nie jest zadaniem, Georgio.
- Niewiele o nim mówisz, ale zrozumiałam, że zamierza jak najszybciej sprzedać posiadłość Fairfaksów, a ty obiecałaś jego dziadkowi, że dołożysz wszelkich starań, by odwieść go od tego pomysłu. Jeżeli to nie jest zadanie, to sama już nie wiem.
- Z początku martwiłam się, że mi się nie uda, ale ostatnio robimy w tej kwestii znaczne postępy, więc kto wie, może Tanner zdecyduje się zostać w New Haven.
- Czy te tak zwane postępy mają jakiś związek z istniejącą między wami chemią? Gdy spotykałaś się z Wayne'em, zachowywałaś się inaczej. - Georgia wzięła przyjaciółkę pod rękę. - Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, Cas. Proszę, powiedz mi, co cię gnębi.
- No dobrze, nie przeczę, że jest między nami chemia, i nic poza tym.
- Ale?
- Ale nie ukrywam, że gdyby zechciał zostać w New Haven, miałabym ochotę zobaczyć, jak rozwinie się nasza znajomość.
- O rany! Czy twoje spotkanie z przedstawicielem banku w sprawie kredytu jest nadal aktualne? Musiałabyś oddać w zastaw wszystko, co posiadasz. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?
- Chyba powinnam się z nim spotkać, tak na wszelki wypadek. Nie zniósłabym, gdyby ten piękny dom trafił w nieodpowiednie ręce. Proszę, powiedz mi raz jeszcze, że urządzenie w posiadłości Fairfaksów pensjonatu to dobry pomysł.

- Naprawdę tak uważam. Ciężko znaleźć ładne mieszkanie w tej okolicy. Zobaczysz, będę pierwsza w kolejce, jeżeli faktycznie kupisz ten dom. Myślę, że to fajny pomysł, a Emily z pewnością byłaby zachwycona olbrzymim ogrodem.

- Maaaamooooo, czy mogę wreszcie dostać mojego loda Proszę!

Tanner przyglądał się, jak Cassie, Georgia i mała Emily mijają stary dąb, kierując się ku okienku z lodami. Był zdziwiony stosunkami panującymi między Cassie i jej pracownikami. Zupełnie jak w rodzinie.

On też został włączony do tej „rodziny”. Danny zaproponował, że oprowadzi go po miejscowym torze wyścigowym. Mike zaprosił na grilla organizowanego przez jego żonę, a Georgia powiadomiła o dacie następnego meczu Emily, na wypadek gdyby zechciał przyjść. Całe miasto wyrażało chęć zaadoptowania go jako jednego ze swoich. Zaproponowano mu nawet poprowadzenie tradycyjnej parady.

A Cassie... Co ona chciała mu dać? Z całą pewnością nie to, czego naprawdę pragnął. Tak jakby się umówili, starali się zachować odpowiedni dystans. Żadnego trzymania się za ręce. żadnych skradzionych pocałunków. Ale zwykła kolacja i spacer z nią sprawiły mu większą przyjemność niż niejedna wyrafinowana randka, kolacja w pięciogwiazdkowej restauracji czy przejażdżka limuzyną. Ciągle czuł niedosyt jej towarzystwa, jej bliskości.

Wciąż myślał o pocałunku w schowku pod schodami. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uczucia. Ze wszystkich sił

pragnął się przekonać, czy Cassie równie namiętnie kocha się z mężczyzną.

Nigdy się tego nie dowiesz. Nie chciałeś komplikacji, przypomniał sobie. Nie zamierzał zostawać w New Haven, a ona była z tym miastem równie silnie związana jak ten stary dąb ze swoimi potężnymi korzeniami.

Pomijając wczorajszy wieczór, Cassie dokładała wszelkich starań, by przekonać go, że posiadłość Fairfaksów jest jego domem i nie powinien jej sprzedawać. Nie rozumiał, dlaczego to dla niej takie ważne. Zostały jeszcze trzy tygodnie, by się dowiedzieć.

Spojrzał na zegarek. Czas wracać do pracy.

- Hej, panie Fairfax, chciałem powiedzieć Tanner. - Podbiegł do niego Cory. - Czy przyjdzie pan dzisiaj?

- Gdzie?

- Na koncert jazzowy. Do parku. Zazwyczaj występują wyłącznie dorośli, ale dyrygent szkolnej orkiestry przekonał organizatorów, by pozwolili nam zagrać. Ja gram na trąbce, a Ben na saksofonie. Wprawdzie Ben powiedział, żebym zostawił pana w spokoju, ale pomyślałem sobie, że co mi szkodzi.

- To świetnie, Cory, ale ja...

Z twarzy Cory'ego znikł pełen nadziei uśmiech.

- Nie ma sprawy, nie każdy lubi muzykę jazzową.

Tanner nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopcom, których poznał zaledwie przed pięcioma dniami, tak bardzo zależy na jego obecności na koncercie. Skoro jednak tak było, nie mógł zawieść ich zaufania. Poza tym, nie miał nic lepszego do roboty.

- Uwielbiam jazz. Muszę tylko wiedzieć, o której mam przyjść.

Tanner upewnił się, że zamknął dom, nim ruszył ulicą Main w stronę parku. Przyda mu się spacer. Przynajmniej rozprostuje kości. Zanosiło się na deszcz, choć prognozy przewidywały, że padać będzie dopiero jutro.

Tanner szedł wolnym krokiem, podziwiając po drodze nie typową architekturę wiktoriańskich domów, które czasem sprawiały wrażenie, jakby wykonano je z piernika i pomalowanym różnobarwnym lukrem. Tyle tu historii. Tyle wspomnień. Cassie na pewno zna je wszystkie.

Cassie. Czy ona także będzie na koncercie?

Nie, nie powinien się nad tym zastanawiać. Miniona noc pokazała, że Cassie jest całkowicie inna od kobiet, z którymi mógł tak po prostu, bez żadnych zobowiązań umawiać się na randki. Nigdy nie znał nikogo równie otwartego w kwestii uczuć, i równie pociągającego.

Gdy szedł przez park, ludzie witali się z nim, wiele osób zagadywało go o stan zdrowia Petera i postępy przy budowie sceny. Rodzice Cory'ego i Allena podziękowali mu za przejęcie obowiązków Petera. Jakoś nie zdziwił go fakt, że nie podszedł do niego nikt z rodziny Bena.

Tanner poczuł się akceptowany. Nie miał żadnych trudności z wmieszaniem się w tłum i prowadzeniem rozmów.

Gdy zobaczył Cory'ego, wiercącego się w ciemnych spodniach, białej koszuli i krawacie, uśmiechnął się i uniósł kciuk do góry. Chłopiec szczerze odwzajemnił uśmiech, po czym wrócił

do studiowania nut. Ben skinął jedynie głową, ale miał po prostu więcej doświadczenia w skrywaniu uczuć.

Zaczął się koncert. Ludzie rozsiedli się na kocach i na ławkach. Staruszkowie z laskami siedzieli obok niemowląt w wózkach.

Kapela grała świetnie, ale myśli Tannera zaprzątnięte były czymś innym. Albo kimś...

Powtarzał sobie, że nie szuka w tłumie nikogo szczególnego, choć tak naprawdę wypatrywał twarzy kobiety, która poruszała go do głębi, bez względu na to, czy miała na głowie kapelusz, czy nie.

- Liczyłam, że cię tutaj znajdę.

Tanner odwrócił się i ujrzał Cassie. Miała na sobie ciemnozieloną bluzkę bez rękawów i krótką, kwiecistą spódniczkę, eksponującą niesłychanie długie nogi.

Z trudem przełknął ślinę.

- Czy znasz tu kogoś oprócz Cory'ego i Bena? Uśmiechnęła się.

- Co za głupie pytanie! Choć czasem pojawia się ktoś spoza miasta. Wtedy wszyscy mieszkańcy New Haven zastanawiają się godzinami, kto to jest i z kim jest spokrewniony. Kiedyś Jill zaprosiła chłopaka od siebie z uniwersytetu. Szkoda, że tego nie widziałeś. Wszyscy spekulowali jedynie o tym, skąd przyjechał i co tutaj robi. Jill jeszcze dołała oliwy do ognia, wymyślając o nim różne koszmarnie historie. Miesiącami się z tego śmiałyśmy.

- Cassie westchnęła. - Tęsknię za dawnymi szaleństwami.

- Z twoją siostrą jest coś nie tak? Zarówno ty, jak i twoja mama byłyście bardzo smutne, gdy o niej opowiadałyście.

- Nie, po prostu dochodzi do siebie po rozwodzie. Przyśięgam, że nigdy nie dopuszczę, by mnie coś takiego spotkało. - Oczywiście Cassie rozszerzyła się z przerażenia, gdy usłyszała swoje słowa. - Zapomnij o tym, co powiedziałam. To sprawa rodzinna.

- Rozwody się zdarzają, Cassie. Nikt nie może dać gwarancji, jak będzie za kilka czy kilkanaście lat.

- Nie, chyba połowa mieszkańców New Haven jest po rozwodzie. Ale na przykładzie Jill zobaczyłam, czym kończy się małżeństwo, w którym dwójka ludzi poświęca cały swój czas odmiennym celom i marzeniom. Gdy ja będę gotowa, związę się z kimś, kto będzie chciał pracować razem ze mną. W ten sposób większość czasu będziemy spędzać razem

Tanner poczuł się, jakby dostał cios w żołądek. Słowa Cassie oznaczały, że nie istnieje nawet cień szansy, aby kiedykolwiek byli razem. Zbyt długo pozostawał sam, by móc przebywać z kimś dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu.

- Uduśliłbym się w takim związku. Cassie wzruszyła ramionami.

- Każdemu odpowiada co innego. Moja mama zbyt wcześnie straciła miłość swojego życia. Nawet kiedy tata żył, nie spędzali ze sobą dużo czasu. On ciągle pracował. Jestem pewna, że twoi rodzice też planowali wspólną starość i na pewno stracili większość cennego czasu, jaki był im dany, nie przeczuwając nawet, że pozostało go im tak niewiele.

Tanner spodziewał się innej reakcji. Powinno mu ulżyć. No i ulżyło, cholera. Więc skąd ta pustka w sercu?

- Tata często wyjeżdżał, ale nie mieli wyboru. Bardzo się kochali i tylko to się liczyło.

- Nie każdy ma tyle szczęścia. Ja zamierzam dopomóc losowi.

Nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć. Mieli skrajnie odmienne poglądy. Na pewno każda utrata ukochanej osoby to koszmar. Nie zamierzał drugi raz przez to przechodzić, dlatego nie mógł pozwolić, by ktokolwiek się do niego zbliżył.

Z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Orkiestra schowała się w niewielkim, krytym pawilonie, podczas gdy cała widownia ruszyła w stronę wyjścia z parku. Tylko Cassie rozłożyła ramiona i kręciła się w kółko, uśmiechając się radośnie jak dziecko.

- Czy to nie cudowne? - Jej oczy błyszczały zawadiacko. - Dlaczego dorosłym nie pozwala się na zabawę w deszczu i wskakiwanie do kałuży?

Patrzył na nią i ten widok zapierał mu dech w piersiach. Przypomnił sobie pierwszy dzień ich znajomości.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponował. - Gdzie zaparkowałaś?

- Nie przyjechałam samochodem. Było tak ładnie, że wybrałam spacer. A twój samochód jest jeszcze w naprawie? Ty też przyszedłeś piechotą?

Roześmiała się. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Co się stało, Tanner? Chyba nie boisz się deszczu? Nie jesteśmy przecież z cukru, nie rozpuścimy się!

Ten pozornie niewinny dotyk wywołał w nim burzę z piorunami. Nie bał się deszczu, przerażało go zupełnie co innego.

- No, chodźmy - nalegała. - Potraktujmy to jako pretekst do zabawy. - Wzięła go za rękę i zrobiła pierwszy krok. Podążył za nią. Nie wiedzieć czemu, ogarnęło go poczucie spełnienia.

Casste wskakiwała do każdej kałuży. W końcu wyzwalała Tannera na pojedynek, kto będzie bardziej chlapał.

Mokre ubranie podkreślało wszystkie krągłości jej ciała, a jej śmiech okazał się zaraźliwy. Tanner marzył, by ten spacer trwał wiecznie.

Nie zauważenie doszli do posiadłości Fairfaksów. Zawiedziony Tanner zwolnił kroku.

Cassie widziała, jak uśmiech powoli znika z jego twarzy i zastanawiała się, co mogło popsuć mu nastrój. Nie zamierzała pozwolić, by się smucił. Ten wieczór był zbyt piękny, aby zepsuć go w ten sposób. Wskoczyła na niewielki, ceglany murek i szła, opierając się lekko o ramię Tannera.

Zatrzymała się, gdy drogę zagroziła jej gałąź potężnego drzewa. Ale nie schyliła się, żeby pod nią przejść, tylko potrząsnęła nią, a krople deszczu zgromadzone na liściach spadła na nich jak ulewa.

- Hej, to nie w porządku - zawołał, ściągając ją na dół. W jego oczach znów pojawiło się rozbawienie.

- Ty też nie byłeś uczciwy podczas konkursu na chlapanie. Nosisz buty wielkości małych łódek. Od początku miałeś przewagę.

Stała obok niego, oddalona zaledwie o kilka centymetrów.

Tanner delikatnie wziął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale podniecenie zagłuszyło zdrowy rozsądek. Tak jak wyschnięta w czasie długiej

suszy ziemia łapczywie pije wiosenny deszcz, tak i ona z niecierpliwością czekała na jego dotyk i pocałunek.

Ostatkiem sił zmusił się, by się od niej odsunąć.

- Przy tobie tracę nad sobą panowanie - wyszeptał. Z trudem odzyskała głos.

- Tak?

- Odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie mogę przestać o tobie myśleć - wyznał, obrysowując palcem kontur jej ust. - Wystarczyło jedno spojrzenie, a od razu zacząłem wyobrażać sobie nas spacerujących w deszczu, jadących bryczką i siedzących wspólnie przy ognisku. To szaleństwo, bo nigdy tych rzeczy nie robiłem - wyszeptał, pokrywając jej twarz deszczem pocałunków.

Zamknęła oczy.

- Znów nie grasz fair.

- Wiem. Obiecałem sobie, że do tego nie dopuszczę. To nie byłoby uczciwe względem ciebie. Wyjeżdżam przecież za trzy tygodnie.

Otworzyła oczy. Mieli tak niewiele czasu... Jeżeli teraz nie powie mu, co do niego czuje, może nie mieć drugiej takiej szansy.

- Proszę cię, zostań...

Rozdział ósmy

Tanner znieruchomiał.

- Słucham?
- Będziemy to wszystko robić. Jeździć bryczką i siedzieć przy ognisku. Zobaczysz, jak śliczne jest New Haven zimą.
- Wiesz, że nie mogę sobie na to pozwolić.
- Dlaczego nie?
- Moje miejsce jest w Tyler.

Cassie miała jedyną szansę, by go przekonać.

- Czy możesz to powiedzieć tak z ręką na sercu? Przyznałeś, że nie masz w Tyler domu, jedynie mieszkanie, do którego zaglądasz raz na jakiś czas, by odebrać pocztę i uprać ubrania. Twoja praca zmusza cię do ciągłych podróży, więc nie spodziewam się, żebyś miał zbyt liczne grono przyjaciół. Choć jesteś tu zaledwie od kilku dni, zdążyłeś zaprzyjaźnić się z wieloma osobami. Dlaczego jesteś taki uparty? Czy naprawdę nie chciałbyś zatrzymać rodzinnej posiadłości?

- Czemu to dla ciebie takie ważne? Odkąd przyjechałem, dokładasz wszelkich starań, bym poczuł się związany z New Haven i z domem mojego dziadka. Co z tego masz? Czyżby mój dziadek był na tyle perfidny, że zapłacił ci za przekonanie mnie do

pozostania w New Haven i zatrzymanie jego cennego domu?
Cassie?

- Jak w ogóle możesz sugerować coś takiego?!

- Rozmawiamy o moim dziadku, nie zapominaj. Wszystko jest możliwe. Nie miałbym do ciebie pretensji, gdybyś poszła z nim na jakiś układ. Tym słodsza byłaby moja zemsta.

Dłonie Cassie zacisnęły się w pięści. Miała ochotę uderzyć go z całej siły, żeby tylko zetrzeć z jego twarzy uśmiezek zadowolenia.

- Wiesz co, gdy po raz pierwszy przeczytałam o tobie, o tym, jak wiele podróżujesz, że nie masz bliskich przyjaciół i z nikim nigdy nie związałaś się na stałe, chciałam pomóc...

W oczach Tannera malowała się wściekłość.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Gdzie o mnie czytałaś? Skąd wiesz o moim życiu osobistym?

Cassie zbladła.

- Posłuchaj, Tanner...

- O co tu w ogóle chodzi? Wynajęłaś kogoś, by zgromadził informacje na mój temat?

- Oczywiście, że nie. To był pomysł twojego dziadka. Tak bardzo się o ciebie martwił, że wynajął prywatnego detektywa, który miał sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz, ale pod żadnym pozorem nie ingerować w twoje życie. Nie chciałam ci o tym mówić, ponieważ byłam pewna, że nie zrozumiesz pobudek, którymi kierował się twój dziadek.

- To ty jesteś w błędzie, jeżeli sądzisz, że mój dziadek był kimś więcej niż żądnym władzy tyranem z sercem z kamienia.

- Ludzie się zmieniają. Proszę, przeczytaj jego list, zanim podejmiesz ostateczną decyzję w sprawie domu i ewentualnego wyjazdu.

- - Już zdecydowałem. Jeżeli naprawdę chcesz kupić posiadłość Fairfaksów, radziłbym ci szybko złożyć ofertę. Masz za ledwie dwadzieścia jeden dni.

- Nie wierzysz, że to zrobię? Jeszcze się przekonasz! Złożę ofertę do piątku!

- To takie miłe z twojej strony, Tanner, że przyszedłeś odwiedzić starą kobietę. - Drobne, pomarszczone dłonie pani Johnson drżały, gdy złapała go za rękę. - Przygotowałam dla nas lemoniadę.

Niewielki domek był bardzo zagracony, panował w nim półmrok, ale widać było, że został starannie wysprzątnięty.

- Uważaj na stopień, Tanner. Od światła bołą mnie oczy, więc często przyciemniam je albo w ogóle nie zapalam. Proszę, usiądź, młody człowieku. - Wskazała na krzesło przy kuchennym stole. - Ze względu na mój słaby wzrok przestałam piec ciasta, ale te ciasteczka, choć kupione w piekarni, są niemal równie dobre jak domowe wypieki. - Postawiła przed Tannerem talerz cynamonowych pierniczków oraz szklankę zimnej lemoniady.

Wziął ciastko.

- Jeżeli pani były jeszcze lepsze, to żałuję, że nie przyjechałam tu wcześniej, by ich skosztować. Musiały być przepyszne! Rozpływają się w ustach.

Pani Johnson uśmiechnęła się.

- Teraz jestem pewna, że jesteś synem Franka. On także lubił prawić kobietom komplementy. A więc przyszedłeś porozmawiać o starych, dobrych czasach, o młodości twojego tatusia, tak?

- I mojej mamy, Susan Daniels. Rzadko kiedy opowiadała o swojej rodzinie. Wiem tylko, że ojciec opuścił ich, gdy była jeszcze malutka, a matka nie radziła sobie z ciężarem utrzymania i samotnego wychowania szóstki dzieci, więc zaczęła pić. Mieli niewiele pieniędzy. Co się z nimi wszystkimi stało? Pani Johnson pokręciła smutno głową.

- Taka dobra, urocza, mądra dziewczynka. Miała bardzo ciężkie życie. Ściągnęliby ją na dno, gdyby stąd nie uciekła. - W kąciakach jej oczu zebrały się łzy. - Mama Susan umarła kilka lat temu. Serca wszystkich pięciu jej synów przepelniała złość i nienawiść, nikt nie potrafił do nich trafić.

- Czy któryś z nich wciąż mieszka w New Haven?

- Nie, szeryf Randall przegonił ich z miasta, gdy tylko zaczęli stwarzać problemy. Nie zdziwiłabym się ani trochę, gdybym dowiedziała się, że któryś z nich siedzi gdzieś w więzieniu. Ale co z twoją mamą, Tanner? Czy była szczęśliwa?

- Tak mi się wydaje. Moi rodzice bardzo się kochali. Pani Johnson pokiwała głową.

- Nigdy nie wiemy, ile jeszcze mamy przed sobą czasu, nieprawdaż? Całe miasto pogrążyło się w żalobie, gdy dowiedzieliśmy się o tragicznym wypadku twoich rodziców. I to tak niedługo po śmierci twojej babci. Twój dziadek z czasem zrozumiał, że popełnił błąd, ale było już za późno.

Tanner niemal w ogóle nie pamiętał spotkania z babcią. W końcu miał wtedy zaledwie pięć lat. Tata wytłumaczył mu, że babcia bardzo go kocha, ale nie może postąpić wbrew życzeniom dziadka - niewielu ludzi zdobyłoby się na taki wysiłek. Nie należało jej winić.

- Żaden człowiek nie zmienia się aż tak diametralnie.

- Masz prawo do takiej opinii, ale jesteś jeszcze młody, nie rozumiesz, jak wiele może zdziałać utrata ukochanej osoby i odrobina upokorzenia. Twój dziadek był dumnym i upartym mężczyzną. Nigdy z nikim nie przegrał, aż do dnia, w którym przekonał się, że nie jest w stanie kontrolować własnego syna. Gdy stracił Elizabeth i zginęli twoi rodzice, a tobą zajęła się opieka społeczna, wiele zrozumiał.

Tanner nie zamierzał go żałować. Wszelki ból, którego doświadczył, spowodował dziadek. To on odpowiadał za cierpienie jego rodziców.

- Za późno.

- Wydawanie wyroków nie leży chyba w naszej gestii, prawda, kochany? Wiem, że kiedy twoja druga babcia, matka twojej mamy, rozchorowała się, a nie było jej stać na opłacenie leczenia w szpitalu, twój dziadek pokrył wszystkie koszty. Zapłacił też za jej pogrzeb i piękny pomnik na lokalnym cmentarzu. Nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział, ale w tym miasteczku trudno dochować tajemnicy.

- Pieniędźmi nie da się uspokoić wyrzutów sumienia. To przez niego moja babcia nigdy więcej nie zobaczyła swojej córki.

Pani Johnson pochyliła się do przodu i nakryła swoją drobną dłonią jego opaloną rękę. Nagle poczuł się, jakby był jednym z

jej uczniów, którego przyłapano na niezbyt starannym odrobieniu pracy domowej.

W poniedziałek rano Cassie siedziała przy biurku w swoim gabinecie i dokonywała inwentaryzacji. Przed chwilą wróciła ze spotkania z przedstawicielem banku w sprawie pożyczki' i po raz kolejny uświadomiła sobie, jak wiele może stracić, jeżeli jej pomysł przekształcenia posiadłości Fairfaksów w pensjonat nie wypali.

Nagle drzwi otworzyły się i do środka wbiegła Georgia.

- Jak ci poszło w banku?
- Chyba dobrze.
- Nie uważasz, że trochę przesadzasz?
- Co masz na myśli?
- Co konkretnie obiecałaś panu Fairfaksowi?
- Obiecałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przekonać Tannera, by zatrzymał posiadłość Fairfaksów i uczynił z niej swój dom. Teraz, gdy Tanner i ja pokłóciliśmy się, to będzie trudne.

- Jeszcze w sobotę miałaś pewność, że Tanner zostanie w New Haven. Podczas koncertu byliście tak sobą zafascynowani, jakby cały świat w ogóle dla was nie istniał. Co się stało?

- Pocałował mnie, a ja z tego wszystkiego straciłam głowę i zapomniałam, że miałam go nie ponaglać. Pokłóciliśmy się i Tanner powiedział mi kilka bardzo przykrych rzeczy.

- To chyba nie jest w jego stylu. Prawie go nie znam, ale sprawia wrażenie miłego i sympatycznego człowieka, a nie palanta.

Cassie wciąż robiło się przykro na myśl o jego bezpodstawnych oskarżeniach.

- Nie jest palantem. Nie pokłóciliśmy się o mnie. Nadal nie pogodził się z wydarzeniami z przeszłości. Gdyby tylko udało mi się przekonać go, by przeczytał list pana Franka... Nie może wiecznie nosić w sobie żalu i rozgoryczenia.

Georgia westchnęła.

- Rozumiem, że tak bardzo chcesz mu pomóc, ponieważ sama przez to wszystko przeszłaś po śmierci taty.

Cassie skinęła głową.

- To nie do końca to samo, ale sytuacja była dość podobna, więc wiem, że Tanner nie zazna spokoju i nigdy nie będzie szczęśliwy, dopóki nie przebaczy dziadkowi. Gdy umarł mój tata, otaczali mnie życzliwi ludzie. Bez nich nie poradziłabym sobie. Tanner nie miał tyle szczęścia. Jest sam, odkąd skończył siedemnaście lat. Muszę znaleźć jakiś sposób, by mu pomóc. Georgio. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale obiecałam coś tacie tuż przed jego śmiercią i nie dotrzymałam tej obietnicy. Staralam się, jak umiałam najlepiej, ale to nie wystarczyło.

W oczach Georgii malowała się mieszanina zaskoczenia i zrozumienia.

- Nie mogę uwierzyć, że przez tyle lat trzymałaś to w tajemnicy. Co takiego mogła obiecać dziewięcioletnia dziewczynka?

- Tata poprosił mnie, żebym postarała się być bardziej podobna do mamy i Jill. Wiedział, że nie zawsze będzie mógł być moim kumplem. Wytrzymałam dwa dni, a potem coś we mnie pękło. Po prostu musiałam włożyć porwane dżinsy i tarzać się na

trawie. Czulałam się winna, ale zarazem bardzo mi ulżyło. Sądziłam, że dla taty jestem w stanie zrobić wszystko, a tymczasem... Byłam w błędzie. Nie potrafiłam stać się bardziej dziewczęca.

Georgia dotknęła drobnej dłoni Cassie.

- Nadal nie potrafisz. I nie ma w tym nic złego. Aż się dziwię, że wytrzymałaś całe dwa dni!

- Mówię poważnie, Georgio!

- Wiem, a ja naprawdę uważam, że nie wszystkich obietnic należy dotrzymywać. Jestem pewna, że twój tata chciał dla ciebie jak najlepiej, ale to on był w błędzie. To nie twoja wina.

- Chcę, żeby moje słowo ponownie coś znaczyło.

- Uwierz mi, Cassie, twoje słowo znaczy bardzo dużo. Inaczej nie odniosłabyś takiego sukcesu na polu zawodowym. - Westchnęła. - Widzę, że podjęłaś już decyzję i nic, co powiem czy zrobię, tego nie zmieni. Nie zgadzam się z twoją argumentacją, ale wiedz, że cokolwiek postanowisz, poprę cię w stu procentach!

- Dziękuję, bardzo potrzebowałam tych słów.

- Zmieniając temat, jakie zadanie wyznaczyła mi na dzisiaj moja ukochana szefowa?

Cassie przedstawiła przyjaciółce plan na dzisiejszy dzień, spakowała tapetę, którą zamówiła do posiadłości Fairfaksów, po czym pojechała do swojego mieszkania, by przebrać się w ogrodniczki.

Tak jak się tego spodziewała, Tanner zdążył już wyjść z domu i pojechać na teren budowy. Bardzo jej to odpowiadało. Dopóki nie wymyśli, co takiego powinna mu powiedzieć, by zmienił zdanie, wołała go unikać.

Pokryła podłogę folią, a następnie ustawiła na niej swoje ko-
zły do pilowania i miskę z wodą. Cieszyła się, że będzie miała
czym zająć ręce i umysł. Ochoczo zabrała się do wymierzania
pierwszego skrawka tapety.

Czuła narastające podniecenie, gdy kładła każdy kolejny
fragment. Na białym tle widniały niewielkie bukietki polnych
kwiatów. Taki wzór rozjaśniał pomieszczenie i pozostawiał dużo
możliwości dekoracyjnych.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak by wyglądało jej życie w
posiadłości Fairfaksów. Choć nadal miała nadzieję, że uda się jej
wpłynąć na zmianę decyzji Tannera, musiała opracować plan
awaryjny, by uratować dom.

Drewniane wykończenia pomalowane na biało sprawiały, że
kuchnia wyglądała jaśniej i bardziej przytulnie. Na każdym z
parapetów i półek ustawi roślinki, które złagodzą surowy wy-
strój. I najważniejsze - wewnątrz wypełni miłość i śmiech. Po-
siadłość Fairfaksów stanie się wreszcie domem.

- To wygląda cudownie, kochanie.

Cassie podniosła wzrok. W kuchennych drzwiach stała mama.

- Wejdz, mamusiu.

Dianę weszła do środka i położyła na kuchennym blacie pa-
pierową torebkę przewiązaną wstążką.

- Co Tanner sądzi o tych zmianach? Cassie wzruszyła ramio-
nami.

- Nie widziałam go od soboty. Kiedy kończy pracę nad sceną
na festyn, mnie już tu nie ma.

- A wydawało mi się, że świetnie się dogadujecie. Widocznie
się myliłam. Sądzisz, że Tanner cię unika?

Cassie nie miała zamiaru opowiadać mamie o kłótni. Po co miała psuć jej nastrój?

- Wydaje mi się, że za bardzo na niego naciskałam, by zatrzymał posiadłość Fairfaksów. więc teraz woli zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu, niż stawić mi czoło.

- Czy to znaczy, że zamierzasz się poddać?

- Ależ skąd! Coś wymyślę! Dianę zaśmiała się ciepło.

- Jeżeli ktoś może w tej kwestii coś zdziałać, to na pewno ty. A tymczasem jak twój plan awaryjny?

- Zamierzam wcielić go w życie i złożyć Tannerowi ofertę. Powiedział, że sprzeda posiadłość Fairfaksów temu, kto zapłaci najwięcej, ale myślę, że nie okaże się aż tak bezlitosny. Jeżeli będzie miał wybór pomiędzy mną i tą kancelarią adwokacką, chyba wybierze to, czego się spodziewam.

- Nie wydaje mi się, Cassie, by Tanner był bezlitosny. On po prostu został bardzo zraniony. Mężczyźni nie zawsze potrafią sobie z tym poradzić. Dlatego odetchnęłam z ulgą, słysząc, że nie jesteście ze sobą w żaden sposób związani. Nie chcę, by ktoś cię skrzywdził. Na to było już za późno.

- Nie przejmuj się, mamó, nic nas nie łączy. - Przynajmniej już nie, dodała w myślach. - Nie masz się czym martwić.

- To dobrze. Byłam dzisiaj w sklepie Donny po jakieś świece. Poprosiła, bym ci przekazała, że zdjęcia, które dałaś do oprawy, są już gotowe, więc pomyślałam, że zaoszczędzę ci wyprawy do sklepu i sama je odbiorę. Torebkę i ozdobny papier kupiłam po drodze.

- Świetnie. Bardzo ci dziękuję. Jak się prezentuje zdjęcie? Dianę otworzyła papierową torebkę i podała Cassie srebrną

ramkę.

- Sama oceń.

Cassie wytarła starannie dłonie, nim wzięła do rąk delikatną ramkę. Tanner być może przypominał wyglądem swojego ojca, ale po mamie odziedziczył poważny wyraz twarzy.

- Jest wspaniale. Powinniśmy dać mu to razem!

- Nie, zrób to sama, to był twój pomysł. - Matka pocałowała ją w policzek. - Muszę lecieć. Do zobaczenia w czwartek. Mam nadzieję, że Tanner także zechce przyjść. Przypomnę mu o zaproszeniu. Pa - pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi.

Cassie chciała ją ostrzec, by nie liczyła zbyttnio na obecność Tannera na czwartkowej kolacji, ale musiałyby wówczas opowiedzieć o szczegółach ich sobotniej kłótni. A na to nie miała ochoty, więc milczała.

Z uwagą przyglądała się zdjęciom rodziców Tannera. Była pewna, że klucz do rozwiązania jego problemu leży w przeszłości. Jeżeli uda się jej sprawić, by poczuł się związany z rodzinną historią, może zmieni zdanie i zechce zatrzymać posiadłość Fairfaksów.

Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Z radości aż kłasnęła w dłonie.

- Mam! - Do środy całkowicie skończy remont w kuchni. Przyjdzie wieczorem, by mieć pewność, że zastanie go w domu, każe obejrzeć efekty i podpisać rachunek.

Wyciągnie do niego rękę i zaproponuje rozejm. Uda, że zaakceptowała jego decyzję o sprzedaży domu i podaruje mu ramkę ze zdjęciami rodziców. A potem zaproponuje, że pomoże mu

posprzątać pokój z pamiątkami z dawnych lat. W końcu sprzedaż ma się odbyć za kilkanaście dni. To niewiele czasu.

Pozostało jej mieć nadzieję, że uda się jej znaleźć coś, co pozwoli Tannerowi zrozumieć, że zamieszkanie w posiadłości Fairfaksów umożliwiłoby mu pogodzenie się z przeszłością. W New Haven odzyskałby spokój i znów miałby szansę poczuć się szczęśliwy.

Cassie miała poczucie *déjà vu*, gdy stojąc na werandzie posiadłości Fairfaksów, czekała, aż Tanner jej otworzy.

- Cassie? Co tutaj robisz? To znaczy, chciałem powiedzieć, że właśnie się do ciebie wybierałem...

Zamrugnęła ze zdziwienia. Tego się nie spodziewała.

- Wejdiesz?

- Oczywiście. - Podążyła za nim do kuchni. O czym chciał z nią porozmawiać? - Jak ci się podoba kuchnia? Możesz być ze mną szczerzy, skoro i tak nie zamierzasz tutaj zostać, nie ma to większego znaczenia. W porządku. Świetnie się spisałaś.

- Przyszłam do ciebie, ponieważ musisz podpisać rachunek. - Wręczyła mu fakturę, a Tanner złożył na niej swój podpis. - Nie zamierzasz niczego sprawdzać?

- Nie, po co? Ufam ci całkowicie. Właśnie w tym celu zamierzałem do ciebie iść. Chciałem cię przeprosić za to, co powiedziałem tamtego wieczoru. Wyżyłem się na tobie, choć tak naprawdę byłem wściekły na mojego dziadka. Nie powinienem tego robić. Choć wciąż nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ten dom aż tak wiele dla ciebie znaczy, nie sądzę, byś miała jakąś tajną umowę z moim dziadkiem.

- Przyjmuję twoje przeprosiny. I też przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej o prywatnym detektywie.

- Czy to znaczy, że zawarliśmy rozejm? - Tanner wyciągnął rękę i uściśnął jej szczupłą dłoń.

- Rozejm - powtórzyła.

- Rachunki to jeden z powodów twojej wizyty. Jaki jest drugi?

- Chciałam ci powiedzieć, że mój agent nieruchomości przygotowuje dokumentację i zgodnie z obietnicą otrzymasz moją ofertę w piątek.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

- Oczywiście, mam nadzieję, że fakt, iż nasze zawodowe relacje momentami zamieniały się w bardziej osobiste, nie wpłynie negatywnie na twoją decyzję. Jeśli twoim zdaniem marnuję tylko czas, lepiej powiedz mi to od razu.

- Nic się nie zmieniło. Pieniądze ze sprzedaży zamierzam przekazać na cele charytatywne, więc sprzedam dom temu, kto da najwięcej.

Musiała dołożyć wszelkich starań, by nie okazać mu, jak bardzo zabolą ją ta uwaga. Była bardzo naiwna, sądząc że kilka skradzionych pocałunków mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na jego postanowienie.

- Czyli mnie. - Przynajmniej nie był chciwy. Uniosła do góry papierową torebkę. - Mam dla ciebie prezent.

- Posłuchaj, nie chcę, żebyś...

- To nie ma nic wspólnego z remontem, domem czy twoim dziadkiem. Chciałam coś dla ciebie zrobić, a moja mama pomogła mi wszystko zorganizować.

Tanner nie lubił niespodzianek. Niechętnie wziął z rąk Cassie torebkę i wyjął ze środka zdjęcia rodziców oprawione w cienką, srebrną ramkę.

- To niesamowite! Gdzie udało ci się znaleźć te fotografie?

Silne emocje sprawiły, że przez chwilę z trudem łapał oddech. Ugięły się pod nim nogi. Usiadł na najbliższym krześle, cały czas wpatrując się w zdjęcia.

Palcem obrysowywał kontury twarzy mamy. Miała raczej buntowniczą minę, tak różną od pełnego ciepła i dobroci wyrazu twarzy, który zapamiętał, ale trudno się dziwić, jej dzieciństwo nie było przecież najłatwiejsze.

- Przeszukałam wszystkie albumy mojej mamy. Powiedziałeś wprawdzie, że to nie ma dla ciebie większego znaczenia, ale nie obraż się, nie uwierzyłam ci. Choć minęło tyle lat, czasami muszę spojrzeć na zdjęcie mojego taty. Ciężko jest się do tego przyznać, ale wraz z upływem czasu coraz mi trudniej przypomnieć sobie, jak wyglądał. Czuję się wtedy strasznie.

Doskonale to znał. Beż razy budził się przerażony w środku nocy, bo nie mógł sobie przypomnieć twarzy mamy? Wyraz współczucia w oczach Cassie poruszył go do głębi.

Z trudem powstrzymał zbierające się w kąciakach oczu łzy.

- Dziękuję ci, Cassie, nie wiem, co powiedzieć...

- Nic. Pamiętasz chyba, jak brzmi zasada numer jeden w małym miasteczku...

Roześmiał się trochę nerwowym śmiechem.

- A zatem dziękuję - dokończył.

- Jest jeszcze-jeden powód mojej wizyty. Pani Boone, osoba wielce zapracowana, bo pomaga Klubowi Kobiet New Haven przygotować się do festynu, prosiła, bym cię zapytała, czy nie zechciałbyś przekazać niektórych rodzinnych pamiątek Towarzystwu Historycznemu? Mogę pomóc ci przejrzeć te wszystkie rzeczy... I tak przed sprzedażą domu trzeba będzie posprzątać całe pierwsze piętro.

- Chętnie przekażę im pamiątki, a z jeszcze większą przyjemnością przyjmę twoją propozycję. Zamierzałem zacząć od wyrzucenia tego, co nie posiada żadnej wartości. Ty mogłabyś przejrzeć zdjęcia i listy, ponieważ dużo lepiej orientujesz się, co jest rzeczywiście cenne. Kiedy zaczniemy?

- A co powiesz, gdybyśmy się wzięli za to teraz? Zawahał się. Jej gotowość do pomocy wydawała się mu

trochę podejrzana, ale nie miał wyboru. Zresztą przed chwilą ofiarowała mu najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał. Nie powinien wątpić w szczerość jej intencji. Poza tym praca pozwoli mu ochłonać z emocji.

- Świetnie, chodźmy.

Podążyła za nim po schodach i od razu skierowała się w stronę biurka. Ona przeglądała zawartość szuflad, a Tanner w kącie pokoju układał na dwóch stosach różne rzeczy - na jednej stercie oczywiste śmieci, na drugiej przedmioty, co do których miał wątpliwości, więc wołał zapytać Cassie.

- Tanner? Czy możesz mi pomóc? Wieko się zacięło. Odwrócił się i zobaczył Cassie kłęczącą obok starej skrzyni.

- Oczywiście. - Uderzył kilkakrotnie pięścią w wieko, ale skrzynia nadal nie chciała się otworzyć.

Po kilku nieudanych próbach, zamek w końcu puścił i ich oczom ukazała się płatanina starych sukien i halek z błękitnego i fioletowego jedwabiu. Pod nimi leżał czarny frak, meloniki i białe rękawiczki.

- Co za fantastyczne znalezisko! - zachwycała się Cassie. - Wydaje mi się, że gdzieś widziałam zdjęcie twojej babci ubranej w tę fioletową suknię - mówiła, wkładając suknię przez głowę. - Czy potrafisz sobie wyobrazić tamte czasy? Eleganckie przyjęcia i bale? - Podała Tannerowi frak. - Masz, przymierz to.

Jej entuzjazm był zaraźliwy. Tanner uśmiechnął się.

- Czemuż by nie? Zasłużyliśmy na chwilę odpoczynku. Może włączymy jakąś muzykę? Uwierzysz, że ten stary adapter nadal działa? Trzeba go tylko wytrzeć trochę z kurzu. - Podeszedł do pudełka, które stało obok gramofonu. - Któregoś dnia, gdy zabrałem się za porządki, znalazłem tutaj te płyty. - Wziął pierwszą z brzegu, umieścił ją na gramofonie i zakręcił kilkakrotnie korbką. Płyta zaczęła się obracać.

Pokój wypełnił się głośnymi i rytmicznymi dźwiękami muzyki jazzowej.

- Zatańczymy? - Podał Cassie rękę.

Dygnęła przed nim i wyciągnęła swoją drobną dłoń. Tańczyli po całym pokoju, zręcznie unikając potrącenia jakichkolwiek rupieci.

Gdy muzyka ucichła, Cassie szepnęła:

- Jeszcze tylko jeden raz dobrze, Tanner? Bardzo proszę...

Popatrzyła na niego swymi błyszczącymi, zielonymi oczami i Tanner wiedział, że nie potrafiłby odmówić, nawet gdyby bardzo tego chciał.

- Oczywiście, tylko przełożę płytę na drugą stronę.

Podszedł do gramofonu i powtórzył całą operację. Tym razem z głośnika popłynęła romantyczna ballada Franka Sinatry. Tanner znieruchomiał. Słowa piosenki i tęsknota w głosie piosenkarza uświadomiły mu, jak bardzo będzie mu brakowało Casie, gdy wyjedzie z New Haven.

Nie mógł oderwać wzroku od jej pięknej twarzy. Nie potrafił też oprzeć się pokusie, by wziąć ją w ramiona ostatni raz przed wyjazdem. Przycisnął ją mocno do siebie i zaczął kołysać się w takt muzyki. Przy niej czuł, że żyje.

Rozdział dziewiąty

Cassie nie opierała się, gdy Tanner przyciągnął ją do siebie. Czowała na plecach jego silne męskie dłonie. Rozkoszowała się jego dotykiem, wdychała jego zapach... Pragnęła go. W tle Frank Sinatra swym zmysłowym głosem śpiewał „Spotkamy się w starych, dobrze nam znanych miejscach”.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego całym ciałem. Pragnęła więcej. Dużo więcej. Jęknął. Jego usta szukały namiętnie jej warg. Poczowała na pośladkach jego dłonie. Czowała jego podniecenie i myśl o tym, że to ona do tego doprowadziła, fascynowała ją.

Nie ulegało wątpliwości, że są dla siebie stworzeni. Zamknęła oczy. W marzeniach widziała, jak budzą się codziennie rano w posiadłości Fairfaksów, jak wychowują wspólnie dzieci i wnuki...

Piosenka dobiegła końca. W pokoju zapanowała cisza. Dłonie Tannera zastygły w bezruchu. Przerwał pocałunek. Z trudem łapał oddech. Był bardzo blady. Spróbował zrobić krok do tyłu, wyrwać się z jej uścisku, ale Cassie nie zamierzała do tego dopuścić.

- Nie rób tego, Tanner. Nie odchodź, nie odsuwaj się.
- Muszę, Cassie. Nie chcę cię skrzywdzić.
- Więc nie krzywdź. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Obydwoje straciliśmy ukochane osoby i nauczyliśmy się polegać tylko na sobie. Ja miałam trochę więcej szczęścia niż ty, nie mu-

siałam przechodzić przez to wszystko sama. Gdybyś tylko chciał dać temu miastu szansę, dać szansę mnie, zrozumiałbyś, że także nie jesteś sam.

- Nic się nie zmieniło, Cassie. Za dwa tygodnie wyjeżdżam z New Haven. Obydwoje dobrze wiemy, że nie masz ochoty na romans. Nie zasługujesz, bym potraktował naszą znajomość jak przelotną przygodę.

- Odsuwasz się od ludzi, którym na tobie zależy. Jeżeli nadal będziesz w ten sposób postępował, nigdy nie znajdziesz szczęścia.

Zdjęła fioletową sukienkę i starannie ułożyła ją w otwartej skrzyni.

- Do widzenia, Tanner.

- Cassie, kochanie, wiem, że pieczenie chleba nie należy do twoich ulubionych rozrywek, ale dzisiaj idzie ci jeszcze gorzej niż zazwyczaj. - Diane Leighton położyła dłoń na ramieniu córki.

- Miałaś dodać łyżeczkę proszku do pieczenia, a nie sody oczyszczonej! Powiedz mi, co cię trapi, moje dziecko. Od razu lepiej się poczujesz.

Cassie zazwyczaj odnajdywała ukojenie w przytulnej kuchni mamy. Apetyczne zapachy i ciepły uśmiech Diane uspokajały ją zawsze, ale nie dzisiaj.

- Nie jestem w nastroju do rozmów, mamo.

Nie chciała tłumaczyć matce, że nie wiedzieć kiedy zakochała się w Tannerze. Koniec. Nie zamierzała dłużej tracić czasu i uczuć dla kogoś, kto odrzucał od siebie miłość tylko dlatego, że bał się złamanego serca. Nie wolno jej więcej o tym myśleć!

- Dobrze, masz do tego prawo. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem tutaj, gdybyś mnie potrzebowała. Tak mi przykro, że Tanner nie mógł dzisiaj do nas przyjść. Zdawało mi się, że dobrze się bawił podczas ostatniej wizyty.

- Na pewno, inaczej nie przysłałby ci foremek do ciastek, prawda?

Diane uśmiechnęła się.

- Jest bardzo podobny do swojego ojca. Frankie nigdy nie opowiadał się za tradycyjnymi kwiatkami czy czekoladkami.

- Szkoda tylko, że Tanner nie czuje się w żaden sposób związany z posiadłością Fairfaksów. Nie rozumiem tego. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by pokazać mu, jak ważna jest rodzina i ile znaczy poczucie przynależności do grupy. Chciałam, by poczuł się związany z New Haven i posiadłością Fairfaksów, ale on wciąż koncentruje się jedynie na swojej zemście. Nie wiem, co jeszcze mogłabym wymyślić...

- Tanner potrzebuje po prostu więcej czasu, Cassie.

- Ale do jego wyjazdu zostały już tylko niecałe dwa tygodnie. Jeżeli nie uda mi się wymyślić sposobu, by przekonać go, że jego dziadek naprawdę się zmienił, Tanner sprzeda dom i wróci do Teksasu. A obiecałam panu Frankowi, że do tego nie dopuszczę.

- Nic podobnego, Cassie. Obiecałaś, że dołożysz wszelkich starań, by do tego nie dopuścić. Nie sądzę, by Frank wymagał od ciebie, byś ryzykowała utratę firmy, którą sam ci sprzedał, po to, by ocalić jego dom. Szkoda posiadłości Fairfaksów, ale to jeszcze nie koniec świata. Jeżeli twój pomysł z pensjonatem nie wypali, stracisz nie tylko firmę, w którą włożyłaś tyle pracy, ale i ten dom. To by cię załamało.

Tanner pojawił się na terenie budowy na długo przed innymi. Wprawdzie nie musiał się spieszyć z wyjściem, bo Cassie skończyła już remont kuchni i nie musiał się obawiać spotkania z nią, ale nie mógł spać, a myśl o pozostaniu choćby minutę dłużej w tym wielkim, pustym domu wydawała się mu nie do zniesienia.

- Wcześniej przyszedłeś, Tanner.

Tanner podniósł wzrok, by zobaczyć, jak Peter podąża w jego stronę. Wciąż miał nogę w gipsie.

- No cóż, wiele pozostało jeszcze do zrobienia. Jak twoja kostka?

- Dobrze. Nie wiem, jak ci dziękować za to, że zgodziłeś się przejąć moje obowiązki.

- Nie ma za co. Nigdy nie zapomniałem naszego pierwszego spotkania i serdeczności, jaką mi wtedy okazałeś. Miałem zaledwie pięć lat, a ty rozmawiałeś ze mną jak z dorosłym.

- Zawsze lubiłem rozmawiać. Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

- Pomogłeś, choć wtedy myślałem jedynie, że musisz być ślepy, jeżeli porównujesz pięknego motyla do starego, pomarszczonego człowieka.

Peter roześmiał się.

- O ile pamiętam, powiedziałem też, że mam nadzieję, że któregoś dnia twój dziadek także zmądrzeje. Chyba wiesz, że on w końcu zrozumiał, że popełnił błąd.

Tanner pokręcił przecząco głową.

- Tylko nie ty, proszę. Wszyscy w tym miasteczku, a szczególnie Cassie, próbują mnie przekonać, że mój dziadek stał się przed śmiercią niemal święty.

- Nie był świętym. Był grzesznikiem, który odpokutował za swoje grzechy. Bardzo się zmienił po śmierci twoich rodziców.

W Środę wieczorem Cassie wyjęła listy ze skrzynki i wąskimi schodami weszła na górę do swojego mieszkania.

Pracowała od rana do wieczora, a i tak nie potrafiła zagłuszyć myśli o Tannerze. Wciąż odliczała w myślach dni, które pozostały do jego wyjazdu. Zostały już tylko cztery.

Zabrała się za przeglądanie poczty i zamarła, widząc na jednej z kopert znajomy charakter pisma. To niemożliwe! List nie mógł pochodzić od pana Franka!

Drżącymi rękoma rozdarła kopertę i wyjęła ze środka pojedynczą kartkę.

Moja droga Cassie!

Przekazałem ten list panu Samuelsonowi, nakazując mu, by wysłał go dwudziestego piątego dnia pobytu mojego wnuka w posiadłości Fairfaksów. Zakładam, że poznałeś już Tannera. Powiedziałem Ci, że pragnę, by mi wybaczył i zamieszkał w domu, w którym dorastał jego ojciec. Wiem, że mogło Ci się to wydać egoistyczne z mojej strony, ale kierowałem się także innymi pobudkami. Chciałem dać mojemu wnukowi szansę na prawdziwą miłość, taką jaka łączyła jego rodziców. Moim najskrytszym pragnieniem jest, byście obydwoje zrozumieli, że jesteście dla siebie stworzeni. Mój wnuk zasługuje na prawdziwy dom i uczucie, a któż inny mógłby mu to ofiarować, jeśli nie Ty, kochanie, z Twoim wielkim sercem?

Jeżeli moja próba swatania was nie powiedzie się, proszę, nie miej do mnie żalu. Sprawa domu ma dla mnie drugorzędne znaczenie. Chcę po prostu jak najlepiej dla dwojga ludzi, których kocham najbardziej na świecie.

Z najlepszymi życzeniami, Frank Fairfax II

Cassie otarła wierzchem dłoni łzy spływające po policzkach. Nigdy nie sądziła, że pan Frank ma jakiś ukryty cel, prosząc ją, by przekonała jego wnuka do pozostania w New Haven.

Pan Frank manipulował ludźmi aż do końca swych dni, ale kierował się ich dobrem. Wreszcie miała dowód, że dziadek Tannera się zmienił. Przeczyta mu ten Ust na głos, jeżeli sam nie będzie chciał tego zrobić.

Tanner pociągnął kolejny łyk piwa. Jeszcze tylko cztery dni, pomyślał. Siedział przy kuchennym stole, wpatrując się w trzy oferty kupna posiadłości Fairfaksów. Sądził, że kilka piw korzystnie wpłynie na jego nastrój. W końcu miał co świętować - kończył się czas odsiadki wyroku w New Haven.

Mimo to czuł się fatalnie. Tęsknił za Cassie. Za jej śmiechem i fikuśnymi kapelusikami, które nosiła. Przede wszystkim tęsknił za uczuciem spełnienia, jakie ogarniało go za każdym razem, gdy trzymał ją w ramionach.

Nie sądził, że przyjdzie do niego po tym, jak odrzucił jej propozycję, ale miał przynajmniej nadzieję, że któregoś dnia spotka ją przypadkiem w mieście. Niestety, albo była bardzo zapracowana, albo po prostu go unikała. Dlaczegożby nie? W końcu

odrzucał najwspanialszą rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przydarzyła. Ale nie mógł tego zmienić. Nie potrafił związać się z kimś na stałe. Czas iść naprzód, zapomnieć o Cassie. Spojrzał na przedłożone oferty. Jedna była tak niska, że nie zasługiwała nawet na uwagę. Oferta Cassie też była niższa o kilka tysięcy dolarów od żądanej. Tanner podpisał więc kontrakt z kancelarią adwokacką, ponieważ chciał, by organizacja charytatywna, w którą wierzył, zarobiła na tej transakcji jak najwięcej.

Sądził, że po podpisaniu umowy poczuje się lepiej, ale nic z tych rzeczy. Powinien zacząć się pakować. Już miał wyjść z kuchni, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Co znowu? - wymamrotał, ale zamarł, widząc stojącą na progu Cassie. Ubrana była w dżinsową czapkę, koszulkę z krótkimi rękawami i jego ulubione, dopasowane dżinsy.

Tęsknił za nią bardziej, niż był gotów się przyznać.

- Zajmę ci tylko chwilkę, Tanner.

- Co się stało, Cassie? - Otworzył szerzej drzwi i wpuścił ją do środka. Choć jej twarz pokrywała gruba warstwa makijażu, nie udało się jej ukryć cieni pod oczami

Tak bardzo pragnął przytulić ją i pocieszyć. Ale co miałyby powiedzieć? Nic się nie zmieniło.

- Dostałam dzisiaj list - zaczęła. - Wysłany przez pana Samuela w imieniu twojego dziadka. Proszę, przeczytaj go. - Podała mu kopertę.

Pokręcił przecząco głową. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Dobrze, w takim razie ja to zrobię. - Wyjęła z koperty pojedynczą kartkę papieru. - Co to? - Spojrzała na dokumenty, które

leżały na stole. Drżącą ręką podniosła podpisaną przed chwilą umowę i przeczytała jej treść. - Jak mogłeś? - W jej oczach pojawiły się łzy wściekłości.

- Nie bierz tego do siebie, Cassie, to nie ma żadnego związku z twoją osobą. Postanowiłem przekazać dochód ze sprzedaży na cele charytatywne. To organizacja, która pomogła mi po śmierci rodziców.

- Kogo ty oszukujesz? Robisz to wszystko, żeby zemścić się na dziadku!

- Życzenia dziadka nic dla mnie nie znaczą! Nie obchodzi mnie posiadłość Fairfaksów, interesujesz mnie wyłącznie ty! Gdy tu przyjechałem, odliczałem dni do wyjazdu. Teraz z trudem przypominam sobie, dlaczego w ogóle muszę wyjeżdżać.

- Och, Tanner. - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała z niezwykłą namiętnością.

Nagle zeszywniała. Odsunęła się. Jej twarz przybrała poważny wyraz.

- Moment, zależy ci na mnie, ale mimo to wyjeżdżasz? Dlaczego nie możesz zostać w New Haven i zamieszkać w posiadłości Fairfaksów?

- Nigdy nie przyzwyczaiałbym się do tego, że całe miasto wtrąca się w moje sprawy. Zresztą, jeżeli zatrzymam dom, będzie to równoznaczne z tym, że dziadek wygrał. Cassie, pojedź ze mną do Teksasu. Tam zaczniemy wspólne życie, odcięci na zawsze od przeszłości.

Cassie z trudem zmusiła się, by uwolnić się z objęć Tannera. Choć wiedziała, jak wiele kosztowało go to wyznanie, wciąż nie powiedział, że ją kocha. A ona nie mogła tak po prostu wyrzucić

swojego życia do góry nogami dla związku, którego trwałości nie była pewna.

- Dopóki nie zrozumiesz, że twój dziadek miał zarówno zalety, jak i wady, że popełnił wiele błędów, ale zapłacił za nie wysoką cenę, nie zaznasz spokoju.

- Ależ Cassie...

- Należy uczyć się na błędach innych i nie marnować cennego czasu - kontynuowała. - Zostań. Daj nam szansę. Pozwól nam sprawdzić się w byciu prawdziwymi partnerami. Uprawiamy pokrewne zawody. Całe miasto cię pokochało. Obydwoje należymy do New Haven, nie widzisz tego?

- Nie, prosisz o zbyt wiele. Udusiłbym się od ciągłego przebywania razem. Zbyt długo byłem sam.

- Zależy mi na tobie, Tanner, ale nie mogę tak po prostu zostawić firmy, przyjaciół i rodziny. A nawet gdybym była w stanie to zrobić, nie mogę poświęcić wszystkiego dla mężczyzny, który jest gotów ofiarować mi zaledwie część siebie. Wszystko albo nic, Tanner. - Cassie położyła na stole podpisaną umowę oraz list od pana Franka. Powstrzymując zbierające się w kącikach oczu łzy, wybiegła z kuchni.

- Cassie? Jesteś tam? To ja, Georgia. Otwórz drzwi. Cassie jęknęła. Spojrzała na budzik. Dziesiąta! Niemożliwe!

Nigdy jeszcze nie zasnęła. Ale też nigdy nie miała złamanego serca..

Włożyła szlafrok i ciągle w półśnie otworzyła drzwi.

- O rany, wyglądasz okropnie. Masz gorączkę? - Georgia przyłożyła rękę do czoła przyjaciółki. - Nie, nie masz. Boli cię brzuch?

Oczy Cassie zaszkliły się od łez.

- Słodka jesteś, gdy przejmujesz rolę mamy.

- Wątpię. Ostatni mężczyzna, z którym umówiłam się na randkę, nie był zachwycony, gdy poleciłam mu zjeść warzywa. Proszę, to leżało pod twoimi drzwiami.

Cassie otworzyła kopertę i wyjęła z niej plik papierów.

- Miałaś rację, Cassie - przeczytała na głos. - Podjąłem decyzję, kierując się złymi pobudkami. Kochasz ten dom i dlatego powinnaś go mieć. Adwokat zna mój adres w Tyler. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić i mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Cassie spojrzała na pozostałe kartki. Tanner podpisał jej ofertę kupna! Posiadłość Fairfaksów stanie się jej własnością! Myślała, że odetchnie z ulgą, ale czuła jedynie wszechogarniającą pustkę.

- Pan Frank byłby z ciebie dumny, Cassie. Ocaliłaś posiadłość Fairfaksów! Musimy to uczcić!

Georgia wzięła przyjaciółkę za rękę i zaprowadziła na kanapę w salonie.

- Mam nadzieję, że nie robisz sobie wyrzutów z powodu niedotrzymanej obietnicy? Nikt nie zaprzeczy, że bardzo się starałaś.

Cassie oparła głowę na ramieniu przyjaciółki i wybuchnęła płaczem. Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. W końcu Cassie wyjęła z kieszeni szlafroka chusteczkę i wydmuchała nos.

- Byłam taka naiwna!

- Chodzi o ciebie i Tannera?
- Staralam się w nim nie zakochać. Wiedziałam, że ryzykuję, ale wydawało mi się, że on jednak zostanie, bo mu na mnie zależy.
- Tanner wciąż może zmienić zdanie. Zostało jeszcze kilka dni, więc...

Cassie pokręciła przecząco głową.

- Nie robi tego. Przyznał wprawdzie, że mu narmnie zależy, ale spytał, czy nie pojechałabym z nim do Teksasu. Choć bardzo go kocham, nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że nie możesz! A jeśli on chciał cię wypróbować? Przekonać się, czy naprawdę kochasz go tak bardzo, jak mówisz? Może chce się dowiedzieć, jak wiele dla ciebie znaczy - kontynuowała Georgia.

- To nie takie proste. Dopóki nie wyzbędzie się nienawiści do dziadka, nigdy nie zazna spokoju, a to z całą pewnością odbije się na naszym związku. Ponadto jest całkowicie przeciwny wspólnej pracy, a wiesz, co sędzę na ten temat.

- Ale skąd pewność, czy taki pomysł dałoby się w ogóle zrealizować? Spędzilibyście ze sobą niemal całą dobę, a przecież cenisz sobie swoją niezależność, lubisz być samodzielna.

- Chcę przynajmniej spróbować.

- Nie jesteś zbyt kompromisowa, Cassie.

- Nikt nie wie, ile czasu mu zostało. Zobacz, ile lat stracili moi rodzice, bo tata ciągle pracował. Albo co stało się z małżeństwem Jill. Nie chcę się rozstać z ukochanym człowiekiem tylko dlatego, że każde z nas będzie gonilo za innymi celami.

- Musisz skoncentrować się na tym, czego potrzebujesz, żeby być szczęśliwa. Jeżeli naprawdę musisz przebywać z kimś dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie powinnaś się godzić na mniej. Dobrze, że Tanner przynajmniej był z tobą szczery. Uwierz mi, są gorsi mężczyźni.

Cassie uściskała przyjaciółkę, która na własnej skórze przekonała się o tym.

- Wiem, Georgio, ale to nie zmienia faktu, że tak bardzo boli...

To była ostatnia noc Tannera w posiadłości Fairfaksów. Zamierzał wyjechać następnego dnia rano, przed rozpoczęciem parady. Wolał uniknąć ławych pożegnań z ludźmi, którzy tak chętnie przyjęli go do swoich serc.

Obszedł już wszystkie pokoje na piętrze i spakował swoje rzeczy. Musiał jeszcze przejść się przez pomieszczenia na parterze, by upewnić się, że niczego nie zostawił. Na końcu wszedł do kuchni. To miejsce bardziej od innych w domu dziadka zostało naznaczone obecnością Cassie.

Na stole wciąż leżała koperta pozostawiona przez nią dwa dni temu. Cassie zbladła, gdy zobaczyła, że odrzucił jej ofertę. Czy teraz była szczęśliwa? Miał nadzieję, że tak!

A swoją drogą, co takiego dziadek napisał, skoro Cassie uważała, że ten list może mieć zasadniczy wpływ na decyzję Tannera? Ciekawość okazała się silniejsza. Tanner wziął do ręki list.

Niemożliwe. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Mężczyzna, który uczynił z życia jego rodziców prawdziwe piekło, nie mógł napisać takiego listu! Autor tych słów twierdził, że szczęście

wnuka jest dla niego ważniejsze niż rodowa posiadłość i tradycja.

Zdziwiony i zaskoczony Tanner przetrząsnął swoją torbę w poszukiwaniu drugiego listu od dziadka. Drżącymi rękoma rozdarł kopertę.

W jego oczach pojawiły się łzy. Czytał o wyrzutach sumienia, jakie miał ten stary człowiek, który ofiarował swojej żonie wszystko oprócz tej jednej rzeczy, której pragnęła całym sercem - nie pozwolił jej nawiązać kontaktów z synem, by mogli na powrót stać się rodziną.

Czytał dalej. Już dawno temu dziadek chciał, aby Tanner zamieszkał w posiadłości Fairfaksów i korzystał ze wszystkiego, co dawały pieniądze i prestiż nazwiska. Dopiero później Frank Fairfax zdał sobie sprawę, że w ten sposób próbował zmusić swojego syna, by padł na kolana i prosił o wybaczenie za to, że odwrócił się od swojej rodziny.

Duma, egoizm i upór uniemożliwiły ojcu i synowi pogodzenie się. Dziadek żałował krzywdy, jaką wyrządził rodzinie, ale wszystko już się stało. Miał jedynie nadzieję, że kiedyś zostanie mu to wybaczone.

Tannerowi wydawało się, że przyjechał do New Haven, by pomścić krzywdy rodziców. Teraz zrozumiał, że nie zrobił tego dla nich. Dlaczego sądził, że to by ich uszczęśliwiło? Nigdy nie narzekali, a tata zaryzykował nawet powtórne odrzucenie i po pięciu latach milczenia pojechał odwiedzić rodziców z małym synkiem.

Tanner spuścił głowę. Po jego policzkach spływały łzy, oczyszczając serce z rozgoryczenia i bólu. Czy kiedykolwiek

wybaczy sobie, że nie zechciał się pogodzić z umierającym dziadkiem, że nie był równie odważny jak jego ojciec i bojąc się odrzucenia, nie potrafił wyciągnąć ręki do człowieka, który go skrzywdził?

Otarł łzy rękawem koszuli. To, że Cassie kochała jego starego dziadka, fascynowało go, ale przecież ona twierdziła, że czuje coś także do niego, co było dużo bardziej niesamowite!

Ależ z niego egocentryk! Ani przez chwilę nie zastanowił się nad jej potrzebami. Był tak uparty i skoncentrowany na swojej zemście, że zranił ją - odrzucił jej ofertę kupna domu. W dodatku był na tyle dumny, że nie potrafił się przyznać, jak bardzo jej potrzebuje.

Rozdział dziesiąty

Cassie przechadzała się nerwowo po pokoju. Dzisiaj mijał ostatni dzień miesięcznego pobytu Tannera w posiadłości Fairfaksów. Spadkobierca spełnił wymóg ustanowiony przez pana Franka w testamencie.

Przed domem nie było jego samochodu. Czyżby już odjechał? Musiała coś zrobić, ale co?

Początkowo sądziła, że przekonanie Tannera, by pozostał w New Haven i zatrzymał dom swoich przodków, jest jej jedynym celem. Ale zakochała się i teraz myślała jedynie o tym, jak by się wszystko potoczyło, gdyby Tanner przebaczył dziadkowi i pogodził się z wydarzeniami z przeszłości. Być może potem mogliby zacząć budować wspólną przyszłość.

Pozostałe kwestie - mieszkanie w posiadłości Fairfaksów, wspólna praca - to wszystko byłoby bardzo miłe, ale wbrew temu, co wcześniej sądziła, przecież nie decydowało o szczęściu. Niemniej jednak postawiła go przed wyborem: wszystko albo nic, i została z pustym domem, który bez Tannera nic dla niej nie znaczył.

W ciągu ostatnich kilku dni zrozumiała, jak szare i smutne byłoby jej życie bez niego. Jeżeli naprawdę go pokochała powinna go zaakceptować takim, jaki był, i zrozumieć, że potrzebuje szeroko pojętej wolności, żeby móc się ustakować.

Poczeka cierpliwie, dopóki Tanner nie przebaczy dziadkowi. Panu Frankowi zrozumienie popełnionych błędów zajęło całe lata, a ona nigdy go nie opuściła. Dlaczego miałyby okazać mniej wyrozumiałości Tannerowi?

Nie mogąc wytrzymać ani chwili dłużej w swoim mieszkaniu, Cassie postanowiła w pierwszej kolejności upewnić się, czy posiadłość Fairfaksów jest faktycznie pusta, następnie odnaleźć pana Samuela, chociażby miało to oznaczać wyciągnięcie go z samego środka parady, i uzyskać od niego adres Tannera w Tyler. Pojedzie za nim i zmusi go, żeby jej wysłuchał, czy będzie miał na to ochotę, czy nie.

Zbiegła szybko na dół i otworzyła frontowe drzwi domu pani Boone. Wybiegła na chodnik i ruszyła w stronę posiadłości Fairfaksów. Naraz usłyszała głośny dźwięk klaksonu. Zatrzymała się mimo woli i zobaczyła nadjeżdżający czerwony thunderbird pana Franka. Zabytkowe auto jak co roku jechało na czele parady. W kabriolectic siedziało kilka osób, a wszystkie machały rękoma

jak szalone. Ale dlaczego? Czyżby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo?

Samochód zbliżał się coraz bardziej. Z przodu, na siedzeniu pasażera, rozpoznała pana Samuela. Świetnie. Nie będzie musiała go szukać. Zaoszczędzi w ten sposób czas.

Kierowca kabrioletu nie przestawał machać, a wiatr rozwiewał jego kruczoczarne włosy. O Boże! Szerokie ramiona i muskularna klatka piersiowa mogły należeć tylko do jednego człowieka - do Tannera!

Serce Cassie zabiło mocniej. Nie mogła uwierzyć, że Tanner nie wyjechał z miasta i wciąż jest w New Haven, a do tego przewodzi dorocznej paradzie. Czy to oznaczało, że jednak zmienił zdanie i zamierzał zatrzymać dom?

- To dobry znak, młody człowieku. - Adwokat na widok Cassie poklepał Tannera po ramieniu. - Jakie były szanse, że Cassie pojawi się na ulicy akurat wtedy, gdy będziemy tędy przejeżdżać? Mówię ci, to przeznaczenie!

- Z takim samochodem nie możesz przegrać! - zażartował Ben, siedzący z kolegami z tyłu.

Tanner uśmiechnął się. Cieszył się, że Ben czuł się w jego towarzystwie na tyle swobodnie, by dowcipkować. Dla tego chłopca też warto zostać w New Haven, choć z całą pewnością nie był to najważniejszy argument.

Kilka godzin wcześniej, gdy wtajemniczył pana Samuela, burmistrza i każdego, kto zechciał go słuchać, w szczególności swojego planu, ich zrozumienie, życzliwość i aprobatą utwierdziły go tylko w przekonaniu, że zostając, podjął słuszną decyzję. Z początku zaakceptowali go ze względu na nazwisko, ale przez

ostatni miesiąc zdążyli go poznać i teraz lubili go i szanowali ze względu na to, jakim był człowiekiem.

Ale dla niego tak naprawdę liczyła się opinia tylko jednej osoby.

- Mam nadzieję, że macie rację.

Tanner zatrzymał kabriolet, a tym samym i całą paradę przed posiadłością Fairfaksów. Wskoczył z samochodu i pobiegł w stronę Cassie.

Zarzuciła mu ręce na szyję, a on wziął ją w ramiona i unióś do góry. Czuł na szyi ciepłe łzy spływające z jej oczu.

- Przeczytałem oba listy, Cassie - zaczął. - Wybacz mi, że byłem takim idiotą. - Płakała coraz bardziej. - Postąpiłaś słusznie, odrzucając moją propozycję wyjazdu z New Haven. Obiecuję, że wszystko poświęcę dla naszej miłości. Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić i zapełnić posiadłość Fairfaksów dziećmi i wnukami! Możemy nawet razem pracować, ale tylko na próbę.

Ujął w obie dłonie jej mokrą od łez twarz i zajrzał głęboko w oczy.

- Proszę, powiedz, że nie jest jeszcze za późno.

- To ły szczęścia, Tanner - mówiła łamiącym się głosem. - Właśnie szłam do posiadłości Fairfaksów, bo chciałam ci powiedzieć, że ja też cię kocham. Bałam się, że uczucie, które nas łączy, nie jest dostatecznie silne, ale teraz widzę, że się myliłam. Nadal uważam, że fajnie byłoby razem pracować, ale to nie jest konieczny warunek. Tak naprawdę liczy się tylko to, że jesteśmy razem.

Tanner skinął głową.

- Będę potrzebował twojej pomocy, Cassie. Muszę nauczyć się wybaczać. Miałas rację, kiedy powiedziałaś, że będę żałował. Gdy pomyślę, że odrzuciłem szansę, by poznać mojego dziadka... Po śmierci rodziców on był całą moją rodziną.

- Zrobiłeś już pierwszy krok. Reszta przyjdzie sama. A ja zawsze będę z tobą. Nigdy cię nie opuszczę. Obiecuję ci. - Dotknęła dłonią jego zaróżowionego z emocji policzka. - Razem na zawsze.

Wziął jej dłoń, pocałował i przycisnął do serca.

- Nie mogę uwierzyć, że zaledwie trzydzieści dni temu przeklinałem dziadka za umieszczenie w testamencie tej dziwacznej klauzuli, za zmuszenie mnie do przyjazdu do New Haven. Teraz żałuję, że nie mogę mu podziękować.

Cassie wierzchem dłoni otarła łzy i uśmiechnęła się.

- Będziemy razem, a posiadłość Fairfaksów stanie się naszym domem, a to najlepsze podziękowanie. Jestem pewna, że pan Frank patrzy teraz na nas i uśmiecha się.

- Myślisz, że spodoba mu się, jeśli wryjemy nasze inicjały na ścianie w schowku pod schodami?

- Będzie zachwycony! - Cassie przechyliła głowę na bok, śmiejąc się cały czas. - Jestem pewna, że nie miałyby także nic przeciwko prawnukom...

Tanner spojrział na kobietę, która w ciągu miesiąca radykalnie odmieniła jego życie. Po raz pierwszy od czasu śmierci rodziców poczuł, że jest w domu.

- Już nie mogę się doczekać.

Wziął Cassie w ramiona i pocałował ją, wyrażając w tej pieśczoce gorącą obietnicę wiecznej miłości.

Całe miasto cieszyło się razem z nimi. Ludzie bili brawo, trąbiły klaksony, orkiestra uderzała w bębny, ale Cassie i Tanner nie zwracali na nic uwagi. Znajdowali się w swoim własnym, tylko dla dwojga przeznaczonym świecie. Pocałunki Tannera ślubowały Cassie radość, ciepło, szczęście i przede wszystkim - miłość.

RS